

XXXV OGÓLNOPOLSKI  
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 27 LISTOPADA 2020 R.





## ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka  
Rada Miejska w Lęborku  
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego  
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku  
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie  
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku  
Lęborskie Centrum Kultury Fregata

## KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego  
Samorządu Powiatu Lęborskiego  
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

PATRONAT HONOROWY:



**MIECZYŚLAW STRUK**  
MARSZAŁEK  
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

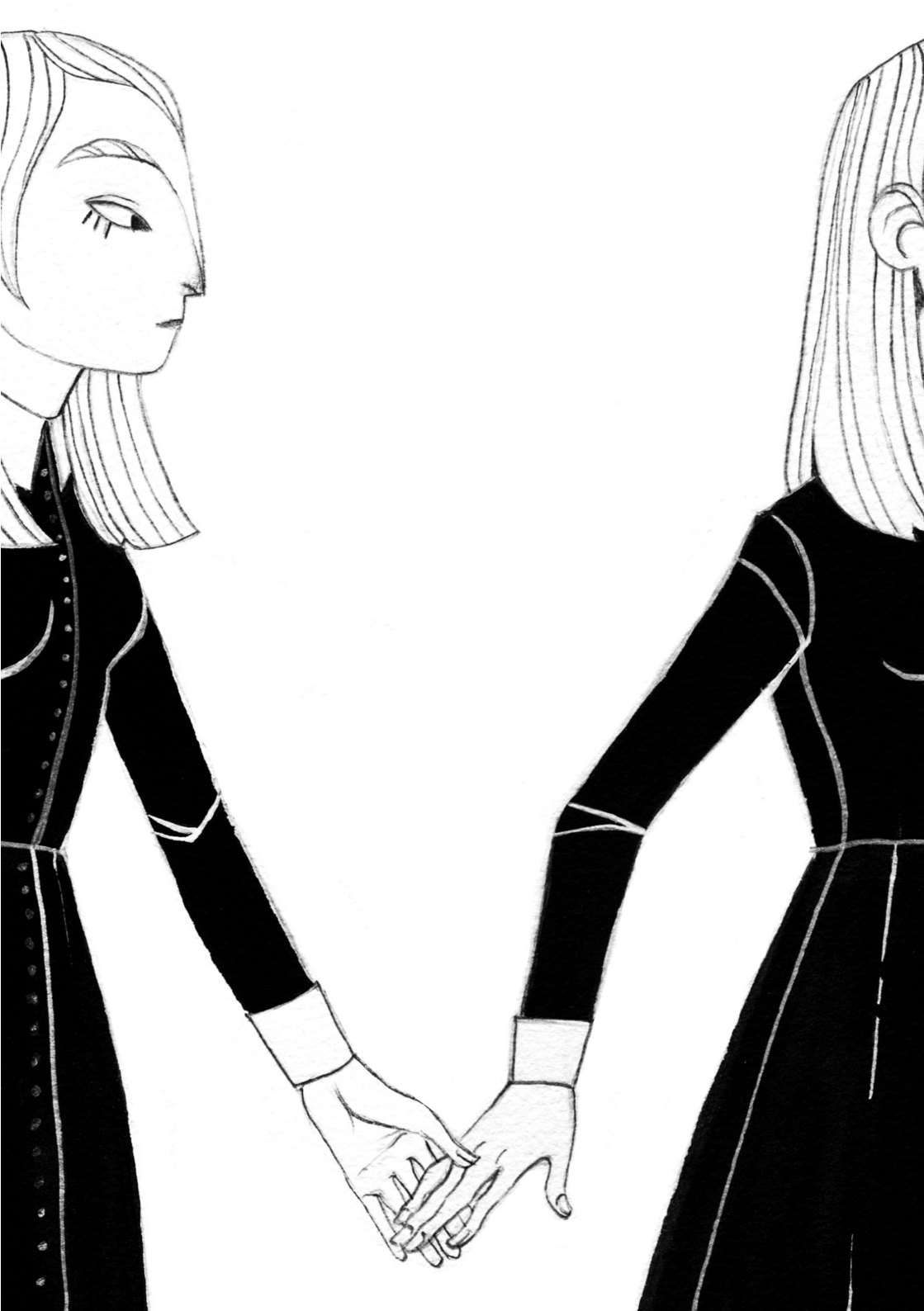
PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI

*Fontanna*

*w tysiącu słońc  
w iskierekach wody  
dużo radości  
maleńką tęczę  
trzymam w palcach  
podnoszę do oczu  
tak najdłużej utrwałę blaski  
blaski złote rybki  
których nie ma*

*Mieczysław Stryjewski  
30 VII 62*



## JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska

Daniel Odija

Jerzy Stachurski

## LAUREACI

*Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego*  
**Daria Kaszubowska** (Rąb)

### W KATEGORII POEZJI:

*I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka*  
**Maciej Bujanowicz** (Radom)

*II nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku*  
**Mirosław Kowalski** (Mysłowice)

*III nagroda*  
**Łukasz Barys** (Pabianice)

### W KATEGORII PROZY:

*I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego*  
**Anna Kokot-Nowak** (Przeźmierowo)

*II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego*  
**Tadeusz Charmuszko** (Suwałki)

*III nagroda*  
**Anna Piliszewska** (Wieliczka)

### NAGRODY SPECJALNE

*Burmistrza Miasta Lęborka dla twórcy z ziemi lęborskiej*  
**Dorota Sysik** (Tawęcino)

*Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego*  
**Hanna Makurat-Snuzik** (Gdańsk)  
**Adela Kuik-Kalinowska** (Słupsk)  
**Mateusz Klebba** (Koleczkowo)

*Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku*  
**Krystyna Lewna** (Godętowo)





NAGRODA GRAND PRIX  
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

DARIA KASZUBOWSKA

TAMTEN WIECZÓR PRZED STU LATY

*(Tekst w języku polskim. Mieszanie w dialogach języka polskiego z kaszubskim jest celowe, aby oddać klimat języka, a jednocześnie dać możliwość swobodnej lektury czytelnikowi polskojęzycznemu.)*

Wrześnie słońce chowało się już za lasami, gdy nauczyciel Marcin Czarnecki, prowadząc pod rękę ómkę Luizę, opuszczali chatę Tusków. Spędzili tam całe popołudnie, od momentu, gdy jedenastoletni Kazek Tusków wpadł do chaty Czarneckich z okrzykiem:

- Pòmózta! Mëmka rodzi!

Ómka Luiza, nazywana przez ludzi „mądrą”, czyli wiedźmą, była najstarszą akuszerką w Pogorzelicach, czy właściwie w Langeböse, a jednocześnie najbliższą sąsiadką Tusków, wystarczyło przebiec miedzą wzdłuż pola starego Édka Tuska, minąć bokiem chatę młodego Édka Tuska, przeskoczyć strumyczek między wierzbami i przeciąć pastwisko za stodołą Czarneckich, nic dziwnego więc, że mały Kazek właśnie u nich jako pierwszych szukał pomocy.

Ómka Luiza, której szło na sześćdziesiąty siódmy rok, choć ostatnio bywała słaba, poruszała się powoli i widziała coraz gorzej, uwielbiała chodzić do porodów. Coraz rzadziej miała jednak ku temu okazję, bo we wsi mieszkaly już dwie młodsze akuszerki, w dodatku chata Czarneckich położona była na samotnym wzgórzu, oddalona od reszty domów. Tym bardziej ómka ucieszyła się, gdy do kuchni wpadł przejęty Kazek. Do Tusków zresztą chodziła zawsze, odbierała wszystkie porody jeszcze od Zyty Tuskowej, ledwo dwa lata młodszej, przyjmowała na świat i samego starego Édka Tuska w roku 1867, nie mówiąc już o sześciorgu dzieciach świętej pamięci pierwszej żony Tuska oraz dziewięciorgu dzieciach drugiej żony, która właśnie nosiła pod sercem dziesiąte dziecko. Ómka odebrałaby to jako śmiertelną obrazę, kończącą na zawsze dobre między sąsiadzkimi stosunki, gdyby zawołali do porodu kogoś innego. Dlatego też od razu porzuciła ziemniaki, które tarła na plince i ruszyła na pomoc młodej są-

siadce. Marcin zamierzał tylko ją odprowadzić, wrócić do swojej pracy, a po wszystkim przyprowadzić ómkę z powrotem, nie mógł przecież ryzykować, że babcia wyczerpana zasłabnie gdzieś na łące.

Ale stało się inaczej.

Stary Édk Tusk siedział na ławce przed chatą razem z Józwe Cymanem z Bąkowa, gburem bogatym, ale chętnie zaglądającym do kieliszka i, jak się mówiło we wsi, krótko trzymającym swoją rodzinę. Do jego przybranych córek nikt się nie mógł zbliżyć; Marcin Czarnecki, choć znał wszystkich w okolicy, córki Cymana ledwo kojarzył. Teraz obaj gospodarze ochoczo popijali bimbber, zagryzając kiszonymi ogórkami z glinianej baryłki i rozmawiali wesoło, zupełnie obojętni na nieludzkie kobiece wrzaski dobiegające z głębi chaty.

- Biej tam do mojej białczy, bo drze są barzi jak wiedno - powitał Tusk sąsiadkę.

Drzwi do chaty były ledwo przymknięte, więc Marcin pchnął je i puścił ómkę przodem. Zamierzał wrócić do siebie, bo nic po mężczyźnie u rodzącej kobiety, lecz nagły, rozdzierający powietrze wrzask sprawił, że ścierpł z ręką na kłamce.

- Straszne, nie? Napij są z nami! - zachęcał Tusk, podsuwając młodemu sąsiadowi szklaneczkę pełną oleistej cieczy.

Marcin pokręcił głową. Kolejny wrzask, jeszcze gorszy od tamtego. Słyszał już nieraz rodzące kobiety, gdy prowadził do nich ómkę, po raz dziesiąty zresztą odprowadzał ómkę do rodzącej Pauliny Tuskowej, znał więc doskonale krzyk rodzącej i wiedział, że nie było w nim nic przyjemnego dla ucha. Ale po raz pierwszy słyszał krzyk tego rodzaju. Potworny, ochrypliły, jakby z dna piekieł.

Zdecydował się jednak przyjąć szklanę, wypił palącą w przelyk zawartość w jednym potężnym hańście, skrzywił się, po czym odważnie wszedł do chaty. W kuchennej izbie kuliło się kilkoro najmłodszych Tusków, którymi nikt się nie przejmował w ogólnym zamieszaniu. Trójka najmniejszych: berbecę jeszcze w pieluchach ledwo stojący samodzielnie na nogach, niewiele większy od niego brudny malec wyglądający na dwa lata oraz trzyletnia, potargana i umorusana dziewczynka, zanosili się spazmatycznym szlochem. Obszliżyły od smaroków i od łez przygarniała ich do siebie starsza siostra, zdaje się sześciolatnia Zośka. Pozostali, z których najstarszy mógł mieć siedem lat, siedzieli pod ścianą bezradnie. Marcin znał starsze dzieciaki Tusków, od siedmiolatka wzwyż, bo uczył ich wszystkich w szkole, ale młodszych ledwo kojarzył, było ich zawsze tyle - Tusk szczylił się, że ma najwięcej dzieci w Pogorzelicach - że ledwo rozpoznawał ich twarze i imiona, byli zawsze po prostu hałaśliwą gromadą. Teraz przyklęknął przy nich i spojrzał na najstarszego chłopca, łypiącego przełękliwymi oczami spod zbyt długiej płowej grzywy.

- Jak ci na miono? - zagaił.

- A-Alosz.

- Alosz, bierz swoich bracyńów i biejta na podwórze bawic sã!

O dziwo, mimo przerażenia, a może właśnie dzięki temu, że ktoś się nimi w tym przerażeniu zainteresował, dzieciaki posłusznie wykonały polecenie. Alojzy wziął pod pachy umorusanego berbecia w pieluchach, choć aż stęknął pod jego ciężarem i wyniósł go na zewnątrz, za nim ruszyła Zośka, ciągnąc za ręce zapłakanych maluchów, a reszta jak gąski poczapali za nimi. Gdy dzieci zniknęły, z sypialni przylegającej do kuchni znów rozległ się wrzask, od którego włosy jeżyły się na głowie. W tym samym momencie w drzwiach chaty stanął Kazek. Jeszcze jego tutaj brakowało.

- A tẽ czego tu? Biej mi stãdka!

- Co mdze z mēmka? - Kazek drzał na całym cieie.

- Jõ tu mdę pilowac - zapewnił, a te słowa uspokoiły chłopca, nawet się uśmiechnął, wyszczerzając krzywe zęby, zupełnie jakby obecność nauczyciela mogła w czymkolwiek pomóc.

Tymczasem Marcin także czuł strach. Jak cień wsunął się do sypialni i uderzony smrodem potu, kału i krwi, zatrzymał się w kącie. Zakręciło go w nosie, żołądek podszedł aż do gardła i przez dłuższą chwilę walczył z torsjami. Udało mu się nie zwymiotować, chyba tylko dlatego, że jeszcze nie jadł obiadu. W izbie panował półmrok, bo zasłony były zaciągnięte oraz niesamowity zaduch i smród taki, że z trudem dało się oddychać. Na stoliku kopciła się tłusta, żółta gromnica. Na małżeńskim łóżu na wpół siedziała, wsparta na poduszkach, Paulina Tuskowa. Znał ją bardzo dobrze - była nie tylko jego sąsiadką, ale i prawie rówieśnicą, starszą ledwo o cztery lata, pamiętał ją jako ładną dziewczynę z wioski, rumianą, ciemnowłosą, później dzieci rodzone rok po roku i ciężka praca odebrały jej część urody - lecz teraz była wprost nie do poznania, straszniejsza niż zmora. Ciało powykęcane, ręce o nabrzmiałych żyłach wszczepione w zagłówek, brzuch wielki i twardy niczym u wilka, któremu w baśni o koźlątkach mama owca zaszyła kamienie, podciągnięta koszula obnażała zakrwawione łono, skóra na cieie była woskowa jak u trupa, oczy wytrzeszczone z bólu. Pościel przesiąkła krwią. Wokół macochy uwijały się Romka i Wiesia, dwie prawie dorosłe pasierbice. W nogach łóżka stała Zyta Tuskowa, teściowa rodzącej, jak chłop paliła tytoń skręcony w bibułę, a wyglądała, jakby czerpała prawdziwą przyjemność z cierpienia dookoła i z dyrygowania wszystkimi. Ómka Luiza fachowo obmacała ciężowy brzuch i włożyła dwa palce głęboko między uda kobiety.

- Boże mój, je lëchò. To jesz nie je czas na poród. To brzëch popekał.

- Jõ pobiegnę po Augusta Stoltmannów. Òn dëch uczył sã na dochtora - zaproponował Marcin prędko.

Ómka spojrzęła na wnuka, zaskoczona, że miał czelność bez zaproszenia

wejść do świątyni rodzącej, ale nie skomentowała tego ani słowem. Pokręciła po prostu głową.

- Tu ju żaden dochtór nie pomoże.

Jakby na potwierdzenie tych słów Paulina Tuskowa znów zaczęła krzyczeć, jeszcze głośniej i jeszcze straszniej, aż obie pasierbice zatkały uszy, kuląc się do siebie.

- A dzieckò?

- Nie urodzi sã. I tak je za malinczie, by żyć.

- Jò to doch od początku wiedziała, że òna do niczego się nie nadaje, nawet-ka dzecy rodzić nie umie - mruknęła Zyta Tuskowa pogardliwie, jakby synowa nie urodziła wcześniej dziewiątki zdrowych dzieciaków i wypuściła z ust kłęb siwego dymu. W prawej dłoni trzymała papieros, palce lewej skrzyżowała, choć wiadomo było, że skrzyżowane palce, ręce lub nogi u rodzącej przynoszą nieszczęście.

Marcin patrzył na swoją koleżankę, a świadomość, że umiera i to w takich męczarniach, doprowadzała go do szaleństwa. Rwał włosy z głowy i brody.

- Biegnę po Augusta! - powiedział wreszcie i mimo że ómka kręciła głowę, wybiegł z chaty, jakby się paliło i popędził w dół wzgórza w kierunku bagien. Na samym skraju lasu stał niewielki, ceglany domek o zielonych okiennicach, w którym mieszkał przyjaciel Marcina, Augustyn Stoltmann z żoną. Marcin wpadł do środka bez pukania.

- August, biej flot, Paulëna umiera!

Młode małżeństwo siadało akurat do obiadu w kuchni skromnej, ale tak czystej, jakby żonie Stoltmanna, pochodzącej ze szlacheckiej rodziny, koniecznie zależało na udowodnieniu, że potrafi być dobrą gospodynią. Za to zawartość talerza, jak kątem oka dostrzegł Marcin, nie pozostawiała wątpliwości, że kucharka z młodziutkiej gospodyni była raczej kiepska: jakieś rozgotowane warzywa i przypalone mięso. Augustyn poderwał się zza stołu. Zniknął w jednym z pokojów i wrócił stamtąd ze skórzaną lekarską torbą.

- Przepraszam, kochanie. Zjedz beze mnie. - Ucałował żonę w czoło i wybiegł za przyjacielem.

August był wysoki, długonogi i szczupły, a Marcin niższy od niego o głowę, krągły, dobrze wykarmiony przez ómkę, dlatego zasapał się, próbując dogonić towarzysza. W biegu wypluwał z siebie urywane słowa wyjaśnień: poród, za wcześniej, popękała, umiera, trzeba ratować.

Ale kiedy dotarli do chaty, z ławki powitał ich posępny głos Édka Tuska:

- Za moją nieszczęsną białkę. - Wzniósł szklanke, po czym wychylił ją samotnie.

- Wieczny odpòczink... - wymamrotał Józwa Cyman, Na znak szacunku wobec majestatu śmierci ściągnął z głowy przepoconą maciejówkę. - Pójdę do mo-

ich, rzec im o twojej starej. Mě przyjdziemy òb wieczòrk na rózańc.

August mimo to wszedł do chaty, Marcin za nim. Cisza po poprzednich krzykach była najbardziej wymowna. W sypialni na łóżku leżała boleśnie powykęcana, ale już nieruchoma Paulina Tuskowa. Krew krzepła jej na udach, a także na ustach i brodzie.

- Na sam kùnc pluła krwią - wyjaśniła ómka.

August podwinął wyżej koszulę na zmarłej i zbadał nabrzmiały brzuch najpierw palpacyjnie, następnie za pomocą stetoskopu.

- Częc słabi puls - powiedział cicho. Bez wahania sięgnął po skalpel, sprawnie naciął brzuch.

- Nie męcz ùmarłej! - wykrzyknęła ómka.

- Ómka, òn je doctorem - przypomniał Marcin. Nie był w stanie patrzeć na pośmiertną operację, bo czuł, że uginają się pod nim kolana. Odwrócił wzrok w stronę ściany, na której wisiały dwa portrety ślubne: Édka Tuska z Anną, pierwszą żoną i Édka Tuska z Pauliną, drugą żoną oraz przepasany czarną wstęgą portret młodzietki Anny. Ciekawe, jak musiała czuć się Paulina, gdy przez całe swoje jedenaście lat małżeństwa budziła się, zasypiała i uprawiała seks z mężem naprzeciwko podobizny jego pierwszej żony.

- Jesz nie je doctorem - zauważyła Zyta Tuskowa bezlitośnie. - I nie ma dët-ków, więc nie mdze nigdë.

August nie odpowiedział, na skupionej twarzy nie drgnął mu żaden mięsień, który mógłby świadczyć, że ta uwaga sprawiła mu przykrość. Zresztą, wysłuchał już podobnych komentarzy tak wiele, że może rzeczywiście puszczał je mimo uszu. Kilka sekund później trzymał w rękach maleńkiego, niewiele większego od męskiej dłoni, bardzo czerwonego noworodka. Maluch poruszył bezradnie rączkami.

- Bravo! Udało sã! - ucieszył się Marcin.

- Nie. Òn nie przeżyje. To knòpik. Trza go ochrzcić. - Podał go starszej pani Tuskowej.

Zyta Tuskowa zażądała wody święconej, a gdy Romka przyniosła ozdobną buteleczkę, seniorka rodu zwilżyła palce i skropiła czoło noworodka.

- Filipie, jò ciebie chrzczę w miono Òjca i Syna, i Dùcha Świętého - wyrecytowała, a już chwilę później malec przestał się ruszać.

- Terò pogrzeb może być podwójny: dla něnki i syna. To baro smutne - odezwiała się ómka, ale nie wydawała się ani trochę zasmucona. Wzięła z rąk sąsiadki noworodka, owinęła go szczerlnie w pieluszki i odłożyła na parapet między donice z pelargoniami, gdzie przypominał kawałek słoniny zawinięty w papier. Obie starsze panie zagoniły Romkę i Wiesię do mycia zakrwawionego ciała macochy. Zyta otwarła skrzynię, wyciągała z niej kolejno różne elementy garderoby, naradzała się ze starszą koleżanką, wreszcie zgodnie wybrały białą, haftowaną

we wzory koszulę, haftowany czepiec i granatową spódnicę - zestaw, który Paulina nosiła od święta, teraz miał posłużyć jej na wieki w trumnie.

Marcin zauważył, że August bez pożegnania wysunął się z izby. Podążył za nim. Na ławeczce przed domem nie było już nikogo, Cyman wrócił do siebie, a Tusk z pewnością pojechał zawiadomić księdza i zamówić pogrzeb. O ich niedawnej obecności przypominały tylko dwie oblepione paluchami szklanki i pozostawiona pod ławką opróżniona flaszka ze smętym ostatnim łykiem trunku na dnie. Przyjaciele pożegnali się krótkim uściskiem dłoni, bez słowa, nagle dopadło ich zmęczenie większe niż po całym dniu orki. August zszedł miedzą w dół świeżo zaoranego pola. Jego długa, przygarbiona troskami sylwetka powoli się oddalała, by później skrócić w brzezinę i zniknąć. Śmierć młodej kobiety w połogu i brak ratunku dla noworodka musiały go dotknąć tym boleśniej, że wraz z żoną oczekiwali pierwszego dziecka.

Tymczasem na podwórzu panował zwyczajny wieczorny harmider. Przy chlewie kręcił się parobek Hubert, pogwizdując przez zęby, z pastwiska wracała piętnastoletnia Jadźka, prowadząc przed sobą na postronkach trzy krowy, trzynastoletni Kuba, ostatni syn Anny Tuskowej i jedenastoletni Kazek, pierworodny syn Pauliny Tuskowej, wracali z widłami z łąki, gdzie z pewnością ojciec wysłał ich, by przetrzucili wczoraj skoszone siano, ostatnie w tym roku, młodsze dzieciaki biegały w słońcu, jakby nie do końca pojmując, że oto zostały półsierotami, najmłodszy berbecę zawodził wniebogłosy, zapewne z głodu, aż stara Zyta Tuskowa wyjrzała przez okno i wrzasnęła do sześciolatniej wnuczki:

- Zocha, czy tē nie czējesz, że on ryczy?! Daj mu bũdlę z mlekiem!

Wreszcie i ómka Luiza pożegnała się ze starą Zytą Tuskową, która została teraz jedyną gospodynią na gospodarce, przeżyła obie synowe, a była wciąż taka krzepka, że najwidoczniej zamierzała przeżyć i dwie kolejne, jeśli syn zdecydowałby się znów żenić. Ómka wzięła wnuka pod ramię i niespiesznym krokiem ruszyli ścieżką w stronę własnego domu. Chmury rozeszły się, a słońce zeszło nisko nad lasy. Ogniste promienie sprawiały, że wciąż zielone drzewa nasyciły się przez moment jesiennym blaskiem, którym miały zabarwić się już niedługo.

Życie toczyło się swoim utartym rytmem, mimo że w chacie za ich plecami stygło ciało młodej kobiety, matki dzieciom, żony mężowi. Kundel Tusków uwiązany przy oborze wył przeciągle z łbem uniesionym ku wschodzącemu księżycowi.

I NAGRODA  
BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA  
MACIEJ BUJANOWICZ

PIEŚŃ I

*nieśmiertelność jest sprawą głupią i smutną*  
*Rafał Wojaczek*

punkt wyjścia okazał się jej ciemnymi ramionami  
w których przyszło nam się urodzić i mieszkać  
lewą ręką zasłoniła nam oczy zapatrzone w wieczność  
prawą pchnęła w dolinę porośniętą zmysłami

my głupi biegliśmy przez nią w stronę nurtu rzeki  
zamiast iść na oślep ciesząc się każdą igielką na skórze  
po zdjęciu maski okazało się że śmiertelny wróg nosi twarz przyjaciela  
który swoją niemą pieśnią porusza mieszkające w nas instrumenty

## PIEŚŃ II

czas naszkicował czarną linię  
na której wznosi się mur  
zbudowany ze wszystkich świętych włosów i paznokci  
z wytartych ubrań i zagubionych myśli

po drugiej stronie wschód słońca  
znajome cienie schowane we mgle  
rozmawiają językiem przeszłości  
którego już nie pamiętam

co jakiś czas światło księżycy  
wypala w murze dziury  
wielkości mojego oka

## NOIR

przyziemne niebo a nad nim ledowe gwiazdy  
powietrze zwilżone odrobiną ciepłej śliny  
przestrzeń nienaruszona niczyją obecnością  
każdy wdech wypełnia krwiobieg tajemnicą

teraz zegar owija wskazówkę wokół szyi  
a światło słoneczne zamyka usta  
cała nierzeczywista prawda o nas pozostanie w gardle  
język będzie jej katem

dzień nakłada na nas świetliste maski  
w których o świcie unosimy się nad miastem



## POEZJA NIE ŻYJE

Jestem samotny jak ostatnie oko  
Idącego do ślepych człowieka!  
Włodzimierz Majakowski

poezja nie żyje to miał być poemat prozą  
pusty oczodół świeci w słońcu jak sztandar  
wiosną nałożę na niego ślinę i błoto  
zastygnie na nim ziemia i wyrośnie trawa

poezja nie żyje zasycha jak krew w żyłach  
to zakrzep niedotlenienie i amputacja  
zaciekle budujecie dom ze zgniłych trupów  
wspólnie wciąż orzemy ten sam popiół i cmentarz

poezja nie żyje dusicie się nawzajem  
wy co jeszcze żyjecie tocząc pojedynk  
języka z zębami dławiąc się obcym ciałem  
które nigdy nie zapłonie bez tlenu z za ust

poezja nie żyje obsrał ją złoty cielec  
ludzie z uśmiechem maczają w tym dłonie  
rysując sobie znaki bojowe na twarzach  
oszczepem przebijają każdą tajemnicę

poezja nie żyje nikt już nie patrzy w pustkę  
od teraz to pustka patrzy na nas i płacze  
a jej łzy spływają po niebie wodospadem  
kapią na miasta zastygając jak żywica

poezja nie żyje wydlub ostatnie oko  
porzuć je i wybierz ciemność w niej mieszka życie

II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO  
RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

MIROSŁAW KOWALSKI

JAK OKRUCHY W RĘKĘ  
ZGARNIAĆ KAŻDĄ SEKUNDĘ

listopadów nie trzymają się liście  
nasze twarze bezszelestnie spływają po lustrach  
nie ma się o co szarpać  
coraz słabiej trzymają się nas żarty  
to nie jest czas i miejsce  
czarny humor musi być naprawdę dobry  
żeby był na tak zwanym miejscu  
listopadów nie trzymają się jaskółki i liście

sprawiedliwie rozlana dwusetka  
zawsze dobrze nakręca sprężyny i śrubki  
rozlane pod ławką zapyziałe żale  
parkowa ławka i parkowe sznapsy  
potem domykanie powiek  
coraz bardziej jak  
domykanie wiek

można jednak wychodzić ze snów i tam wracać  
umiarkowanie przyjemna jest świadomość  
że nie trzeba się o nic szarpać  
wystarczy tylko tyle przygarniętej mądrości by wiedzieć  
że noc sieje gwiazdy na mokrych parapetach  
natomiast dzień rozkleja tam drobne ptasie gówienka  
wystarczy po swojemu nie marnować cennych sekund  
domykać okna i powieki

pamiętać przed powrotami  
by z drzew chmur trawy i jaskółek  
pozbierać wszystkie rozrzucone spojrzenia  
zawsze warto je zbierać  
przed powrotem za rygle i drzwi  
powrotem do szafy na półkę

## JESZCZE RAZ O SEKUNDACH ZGARNIANYCH JAK OKRUCHY

bo potem będzie za późno  
słowa też są niczym okruchy  
coś pięknie i zostanie żal jak studnia  
a wystarczy tylko coś powiedzieć  
albo znowu coś innego przemilczeć

od takiego słowa nie zaczyna się zdania  
a co dopiero całego wiersza  
ale kiedyś naprawdę może być za późno

a gdyby tak nie mówić nic  
tylko po prostu przynieść jabłko lub orzech  
kiedy tak trudno otworzyć siebie  
i z ust wypuścić gołębie  
może wystarczy spojrzeć przymrużyć skinąć  
stanąć jedynie i pomilczeć

chodzą po ludziach jak złodzieje po nocy  
bywa nawet że parami  
te najbardziej rozpaczonośne  
są najbardziej zniecka  
wgryzają się labiryntami czarnych żyłek pnączy macek  
kolonie czerwci rozmieszczają po tkankach  
sprawiają że nawet las i łąka  
pachną szpitalnym korytarzem

zgarniane okruchy są cenne jak sekundy  
potem może być żal że się nie zdążyło  
choćby spojrzeć czy skinąć  
ani z jabłkiem

## SEKUNDY JAK OKRUCHY PO RAZ TRZECI

kiedy tam wrócimy  
jeszcze beztroscy ale jednak bezskrzydli  
może się okazać że umarło już drzewo  
zabrało w niebyt inicjały zakochanych  
piskłeta z dziupli  
i sekrety tylko nasze  
z lipcowego cienia  
dla cichych odwiecznych drzew  
jesteśmy jak jaszczurki  
pojawiamy się na chwilę i nikniemy w trawie  
razem z nami wsiąka w nią deszcz  
drobinek sekund z cyferblatu nieba

kiedy tam wrócimy  
może nie być już tej drogi z kałuż i kamieni rajskich  
czas mógł ją pokryć zapomnieniem i asfaltem

okruchy tamtych rozpalonych dni  
na pewno gdzieś zachowały się tam jeszcze  
może wystarczy pogrzebać w piasku i ściółce  
zajrzeć pod któryś kamień

kiedy się odważymy  
może już nie być jak było  
wiatry roznoszą starte na proch  
małe trupki piskląt i jaszczurek  
ale wrócimy tam choćby po okruchy  
po te kilka zagubionych sekund  
stamtąd

## CZWARTY WIERSZ O SEKUNDACH

nasze ogrody wiszą nad miastem jak zielone latarnie  
dryfują na zmiennych wiatrach  
lub zacumowane drzemią tuż nad horyzontem

nasze ogrody odbijają światło połyskują jak lodowe góry  
przeglądają się w nich kolejne dni i miesiące  
te nie przychodzą tutaj jak do gabinetu krzywych lusterek  
bo w naszych ogrodach wszystko jest takie jakie jest

zasilane deszczem i rosą  
pęcznią wśród chmur jak bujne rajske wyspy  
ale nie znoszą ani kropli złej krwi czy dziegiu  
spryskane nimi w niedobrą godzinę  
gubią swoje cenne liście jak zegary zużyte sekundy

nie poznajemy wtedy naszych ogrodów  
bywa nawet że stracają z siebie pełne piskląt gniazda  
urodzą jakiś zatruty owoc  
całe oplotą się w ciernie  
i tak aż do świtu  
do nowej dobrej aury

w okresach powrotu przyjaznych sekund godzin miesięcy  
nasze ogrody rozkwitają ponownie  
przepływają nad nami nieposkromione rozrosłe  
znowu przygarniają zbłąkane ptaki  
spuszczają nam z góry linowe drabinki

### III NAGRODA

## ŁUKASZ BARYS

### LEKCJA HISTORII

A wiesz, że robię teraz na budowie?  
Jestem chłopcem do podawania cegieł -  
właściciel szwalni kupił sobie starą szkołę  
i postanowił przerobić ją na dworek szlachecki.  
O świcie wchodzę do klas i omiata mnie  
wołanie widmowych dzieci, które mieszkają  
pod podłogą, w ścianach i obrazach.  
Po prostu umarła klasa. Jak z Kantora,  
ale kto u nas na wsi brał udział w takim seansie?  
Właściwie każdy boi się śmierci-sprzątaczk  
i dzieci-staruszków, które prowadzą mnie  
w to, co odwrotne. I każda klasa - to umarła  
klasa, a historia siada mi na kolanach i łąsi się  
jak szczenię, które jedno z dzieci musiało  
wziąć ze sobą na lekcje. Taka to śmierć? Bierze,  
zostawia? A potem bierz, człowieku, kielnię  
w dłoń i siedź z widmowymi dziećmi, co chcą  
się na tobie zemścić? Łaskoczą i popychają cię  
na ścianę? „Hej, właściciel zakładu kupił starą  
szkołę i nie działa wam na szkodę” - wołam,  
lecz nie mam głosu. Jestem zaledwie cieniem  
na fotografii, pozostali robotnicy rzucili na trawę  
puszki i buteleczki, poszli do domów. Stoję  
z pędzlem w białej farbie (choć zatrudnili mnie  
na czarno) i będę tak stał na wieczność.  
A widmowe dzieci nic sobie z kolorów nie robią,  
brązowe gałązki, szarawy popiół i przezroczyste  
szkło sypią mi do śniadania, butów i kurtki.

## ODŚWIEŻANIE

Wciąż to sobie odświeżam  
(na istnieniu chcę kliknąć „odśwież”),  
wciąż was sobie odświeżam, kawki,  
pustułki, dzierlatki, obserwowane przez  
okienko w stodole, po wspięciu się na bele  
siana. To wspomnienie, potraktowane  
kliknięciem migawki albo pauzą, choć  
przecież świat pędził do przodu - i ani  
wtedy, ani teraz się nie zatrzymał. Więc  
kto pędził za mną? Braciszek, potem -  
babcia, prababcia, nasi żołnierze i nawet  
śmierć-sprzątaczką. Jak tu na nią nie  
wpaść, nie spaść? Przez okienko na gałęzie  
orzecha - i w górę, na sam szczyt -  
tam czeka zabłąkany kot i dwanaście  
aniołków. „Umrzeć można nawet na chwilę” -  
mawia braciszek. Jednak niebo to wspomnienie  
po istnieniu, istnienie potraktowane pauzą  
i zupełnie odświeżone. Pod drzewem mama,  
tata, ciotka i zbiorowisko kuzynów chodzą  
i modlą się o „resetowanie wyroków”.  
Pod nimi zaś rzeka, głęboka i ciemna, szeroka  
i porywista: którą płyną inne dzieci, inni  
dorośli, inni żołnierze, inne babki. Którą trzeba  
będzie popłynąć. Po odłączeniu zasilania,  
kiedy odpadnie ta ostatnia nić łącząca nas  
ze światem. Jednak na razie aniołki spuszcza  
nas na ziemię - i mamusia się zeźli na tę  
nieobecność. „Będzie kara na komputer!”.  
A właśnie pociągnęli nam z biblioteki śliski,  
błyszczący internet.



## ALICJA

Kraina czarów przemieniona nawet nie w popiół,  
lecz we wspomnienie: porzrucana pamięć  
i kołdra kurzu, brak powietrza w płucach, brak  
światła między słowami. Zardzewiałe wiadro,  
które wiatr doprowadza do brzęczenia, drzewo  
wiśni pozbawione owoców, kilka rowerów  
obwiązanych winogronem - płodność natury  
na przekór pustce. Po psach metalowe węże,  
łańcuchy zaczepione o budy. Odeszli stąd  
ludzie i kraina czarów, w której żyłaś przez lata,  
odprowadzając słońce na drugą stronę horyzontu,  
strzępi się po bokach i krawędziach - jak ubranie  
po babci, które chce się donosić do końca.  
I nie ma sił na to, że na miejsce kotów przychodzą  
ptaki: dzierłatki, pustułki, kawki obserwują cię  
z gruszy. I nie ma sił na to, że na miejsce dzieci  
przychodzą porzucone zabawki. I nie ma sił na to,  
że na miejsce ludzi przychodzą ich spadki,  
rozrządzenia, załatwia się sprawy w urzędach,  
potem zaś odwiedza cmentarz. Do krainy czarów  
szukasz wciąż wejścia? Przez studnię, stodołę,  
piwnicę i śmierć - sprawdzasz możliwość powrotu,  
lecz poranki nie łączą się z wieczorami, noc  
drapie cię gałązkami. Która to, następna? Idziesz  
do sadu, kucasz i w świetle księżyca widzisz stado  
saren, które podkrada słodkie konferencje.

## JABŁKA

Różowe słońce siada na trawie i skórce.  
Jabłka sprawdzam zębami. Mówisz, że brudne.  
Jak opisać to wierszem? Obrac słowa finką,  
zakopać, odczytać owadom, ptakom i zabłąkanym  
psom? Opisać to wierszem? Niemożliwe:  
zamiast konkretnego mam całą pamięć, twarz,  
gumofilce, paszę. Te wszystkie słowa, i te  
wszystkie wiśnie, które nie układają się w żadną  
opowieść – co najwyżej w placek. Bo czasami  
łatwiej mówić z ptakami o ludziach, niż z ludźmi  
choćby o ptakach. Bo czasami każde słowo  
to podstęp. I dopiero teraz wiesz, co to znaczy,  
że jabłka są „okrągłe” – wyrzuszają kieszenie  
kurtki. Jak znicze, które niesie się na cmentarzu  
zmarłym, z którymi nie zdążyło się zamienić słowa.  
Które z nich mogliście mi podarować, babciu,  
dziadku, nieznaną z imienia ciotkę? Które znaczenie,  
a które brzmienie? I które dałbym w zamian?  
I czy na pewno byśmy się spotkali w połowie drogi,  
skoro nasze słowniki i wiersze tak często się  
rozmijają? Mówisz, że nitki i nici pokrewieństwa  
są twardsze, aniżeli słowniki. I czasami nie trzeba  
nawet rozmów, bo starczą jabłka – wyjmujesz je  
z kieszeni, obierasz ze skórki i kładziesz na ceracie –  
między różańcem, chlebem, radiem i ciepłą colą.

I NAGRODA  
STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO  
ANNA KOKOT-NOWAK

ZRZYNKI PAMIĘCI, STRUŻYNY PRZESZŁOŚCI

„To jest mój stół, moje krzesło, moja łyżka!” - krzyczał dziadek Ignacy, ekspresyjnie wałąc pięścią w rzezonny stół. Przepraszam cię dziadku bardzo, chciałam oczywiście napisać: „wałąc pięścią w swój stół”. Nie, to też jakoś słabo brzmi, bez emocji. Może więc tak: „wałąc pięścią w SWÓJ stół”. Nie jestem i do tego przekonana... Powinna może zapisać to tak: „wałąc pięścią w SWÓJ, SWÓJ, SWÓJ stół”. Teraz już pewnie wszyscy czytelnicy wiedzą, że to naprawdę był twój stół. No tak, był... Co, nie zauważyłeś tego dziadku, nie spostrzegłeś? Naprawdę muszę ci o tym wciąż przypominać, wciąż cię upewniać? Dobrze już, dobrze... Więc powiem ci o tym jeszcze raz, kolejny raz: dziadku Ignacy, ty nie żyjesz. I to już od trzydziestu lat. Że dawno? Ano tak, czas najwyraźniej to nie ślimak, ale Struś Pędziwiatr. Zmarło się więc i tobie, niebożęciu. A na co dziadek padł? No, nie wierze! Nawet tego dziadek nie spamiętał? Przecie dziadek nie miał tego, no... zaraz... Jak to się nazywa... Acha, Alzheimer! Za dziadka czasów to ludzie nawet takiego słowa nie znali, więc lekarze nie wymawiali go pacjentom w gabinetach po próżnicy, bo i po co? Zdrowszy kto kiedy stał się od diagnozy? Ano właśnie, nikt! Tak więc dziadek zmarł na powikłania astmy i cukrzycy. Że cukrzyca? A dziadek słodkiego nie lubił? Ale przecie cukrzyca nie od cukru wybija na człowieka jak siódme poty! Naszła po prostu dziadka po czterdziestce i tak już z dziadkiem pozostała do końca, jak wierny pies. Co dziadek tak pociąga nosem? Że ja psa wspominam? A co, nie wolno mi? Przecie ja z tym dziadkowym psem na koniec świata bym poszła. Z jednej miski myśmy jadły, bo to suczka była. Jak białego serka nie chciała z miski wylizywać, choć jej tak szcudrze zeszkrobałam ze szkolnej kanapki, pokazywałam jej jak powinna to robić. Co się teraz dziadek dziwi... Przecie dziadek sam się temu przyglądał z rozbawieniem i wtedy jakoś to dziadka nie dziwiło... No mała byłam, jakież siedem lat miałam... Psa dziadkowego się nie brzydziłam, ludzi już trochę bardziej... Jakoś tak sąsiady lepkie rączki miały i lubiły mnie tu

czy ówdzie ułapić, a szczytnąć przy tym mocno, boleśnie. Dobrze, że ja spódniczek żadnych nie nosiłam ani sukienek kwiecistych. Dla mnie takie fatałaszkę to za babskie były, za pstrokate, dobre raczej na szmatkę do podłogi niż do noszenia oficjalnego, paradowania przed resztą dziecięcego świata.

No więc psina jeść sera białego nie chciała, mięsko jej pachniało gdzieś wysoko pyrkające w garnku obiadowym, ale jak zauważała mój zapach podczas wylizywania jej miski, to grzecznościowo i ona ten serek lizała. Baaaaaaardzo powoli, z rozmysłem, bez żadnej przyjemności. Wiem, że robiła to tylko dla mnie, po znajomości. Zresztą traktowała mnie jak ludzkie, adoptowane dziecko. Bardzo jej pilnował dziadku, to znaczy jej cnoty, więc chyba tylko trzy razy miała młode. Zwyczajnie to zrobiła, po psiemu... No dobra, nazywaj to jak chcesz, dziadku... Wykiwała cię i tyle! Jak tylko zwietrzyła okazję do popołgowania psiej chuci i nadszarpnięcia swej cnoty, nie wahała się ani przez chwilę. Złapała tylko czarnym, ruchliwym nosem górny wiatr z zapachem złaknionego przygód samca, takiego psiego macho, poobracała ten zapach w swoich nozdrzach jak zaprawę w betoniarnie i już jej nie było. Pozostawał po niej tylko świst powietrza i ślady łap na piasku. A pamiętasz jak puściła się kiedyś przy mnie? Pozwoliłeś mi ją wtedy zabrać ze sobą na spacer, do sklepu. Ona zaś nieprzyzwyczajona była do swobodnych spacerów, starałeś się ją trzymać tylko za klauzurę podwórka przydomowego. I do smyczy nieprzyzwyczajona, zresztą – kto w tamtych czasach, nieomal sięgających Mieszka I i jego wojów, miał w ogóle smycz... Ty jej na pewno nie miałeś, więc posłałeś psinę ze mną na spacer wyłącznie na smyczy słów. No wiesz, co to znaczy... Jak tylko odlatywała gdzieś ode mnie za daleko, kazałeś mi ją przywoływać słowem. Zwykle mnie słuchała, a ty uznałeś, że już nie ma rui i będzie bezpieczna. Posłusznie doszła ze mną do sklepu, a ja spuściłam ją na moment z oka, gdyż w owym sklepie miałam ci kupić sobotnie wydanie „Gazety Poznańskiej”. Kupiłam je (wydawało mi się, że błyskawicznie), a przed sklepem spotkałam nie jednego, twojego/mojego psa, ale naszego/cudzego psa. To znaczy hybrydę jednego psa, sklejonego z dwóch. Teraz bym powiedziała, że hybryda przypominała nieco bliźniaków syjamskich, zrosniętych pośladkami. Przerażona i bezbronna, ja – niewinne dziecko, nie wiedziałam co zrobić. Nieuświadomiona byłam, nie wiedziałam co moje oczy oglądają. Poczułam tylko, że jest to coś bardzo, bardzo złego, że stało się coś, co się tutaj nigdy nie powinno stać. I pomyślałam jeszcze, że będziesz na mnie wściekły. Roztrzęsiona, ze łzami lejącymi się po wykrzywionej strachem buzi, próbowałam wołać na naszą część psa i skłonić ją do pójścia ze mną do domu. Niestety, nasza część psa w ogóle na to nie reagowała. Co więcej, nawet na mnie nie patrzyła! Nie reagowała także cudza część psa! Byłam bezradna. Nieświadomie gniotłam w dłoniach twoją gazetę i dławiałam się od płaczu. W końcu jakiś przechodzień ze świata rozumiejących sytuację dorosłych, kazał mi szybko wracać do domu,

a ja grzecznie go posłuchałam. Pobiegłam do ciebie zapłakana, ale ty w ogóle nie byłeś na mnie zły. Coś tam tylko poszeptaliście sobie na ucho z wujem, on wyszedł, a my zostaliśmy. Teraz wiem, że czułeś się winny całej sytuacji. Teraz już wiem, że źle oceniłeś koniec rui ulubionej suczki. Teraz już wiem, że to nie była moja wina. Na drugi dzień, gdy odwiedziłam cię po południu, z bijącym sercem szukałam wzrokiem psiny. Ku mojemu zaskoczeniu była, taka sama jak zwykle. Znów była pojedyncza, spoglądała mi w oczy, machając ogonem przygarniała mnie czule do siebie i z grzeczności, po starej znajomości, jadła ze mną biały ser z jednej miski. Nie była już hybrydą, tylko TWOIM/TWOIM/TWOIM/naszym psem.

Gdzie jesteś teraz dziadku, o który płot w niebie opierasz spracowane łokieć? Gdzie jest teraz TWOJA/TWOJA/TWOJA mała ojczyzna? W niebiesiech? Na niebieskich polanach, w zagrodzie Świętego Piotra, na stacji Wiekuista Radość? Bo przecież nie może być tak, że gospodarujesz obecnie tylko na tym niewielkim prostokącie gruntu na cmentarzu w Lusowie. Ja wiem, polegujesz tam przepisowo od tych trzydziestu lat (babcia od czterdziestu dwóch, bo sprinterska w uciekaniu od żywota doczesnego była z niej dziewczyna), ale czy tam pod tą starą, krzywo osadzoną płytą, jest jeszcze TWOJA/TWOJA/TWOJA dusza? No dobra... Pamiętam dziadku ten sen, no pamiętam przecie! Wiem, wiem – śniło mi się, że usiadłeś przede mną na SWOIM/SWOIM/SWOIM krześle w kuchni i obracając ku mnie twarz, powiedziałeś z uśmiechem: „Jestem już w niebie!”. I ja ci uwierzyłam, jak zawsze zresztą, choć to sen był tylko, albo aż. Bo to nie był zwykły sen, ale sen – nie mara, to był sen – wiara. Teraz na niebie mi przyjdzie szukać TWOJEJ/TWOJEJ/TWOJEJ nowej ojczyzny, ale przecie pamiętam czasy mojego dzieciństwa, gdy byłeś dobrze osadzony w domku przy ulicy, która nazwę swoją wzięła od ogrodów. Oglądając co dzień w SWOIM/SWOIM/SWOIM ulubionym fotelu „Dziennik Telewizyjny” i przysypiając w strategicznych momentach wiadomości, troskałeś się nie tylko o losy tej wielkiej Ojczyzny, która obejmowała cały kraj. Jak tylko zakończyła się II wojna światowa – zająłeś się pielęgnacją SWOJEJ/SWOJEJ/SWOJEJ małej ojczyzny, umiejscowionej gdzieś w Wielkopolsce. Obie były ci tak samo drogie, obie darzyłeś podobnymi uczuciami. A może jednak małą ojczyznę, kręcącą się wesoło niczym psina wokół twoich stóp – kochałeś bardziej? No bo przecie to tutaj, w niewielkiej, podpoznańskiej wsi, czułeś się jak u siebie. Tylko tutaj byłeś mocno wrośnięty, osadzony całym ciałem i całą rodziną. Na tej ziemi rodziła się trójka twoich dzieci, owoce tej ziemi spożywałeś, piłeś napar ziołowy z lipy rosnącej w SWOIM/SWOIM/SWOIM ogrodzie. To tutaj hodowałeś szparagi, które potem babcia – pokonując wiele kilometrów na piechotę, próbowała sprzedać na jednym z bazarów w Wielkim Mieście. To tutaj ulubiona psina biegała za rzuconą jej przez ciebie piłką lub przynosiła w zziąjanym pysku oślinione i oblepione ziemią pa-

tyki. To tutaj zbierałeś w ogrodzie opadłe jabłka przy pomocy kija z gwoździem, to w tej ziemi, w wykopanej w garażu ziemiance, trzymałeś worek z pyrkami na obiady do końca świata. To właśnie mała ojczyzna karmiła cię tymi pyrami z gzikami, czy pajdami chleba ze smalcem. Jeśli miałeś lepszy, wolny od szalejącego ataku astmy dzień i dobry humor, częstowałeś mnie pajdą świeżego chleba z masłem i cukrem. Jakby tego cukru było jeszcze mało, podawałeś mi w musztardówce - przerobionej na szklanekę - wodę z cukrem, która była dla mnie wyjątkowym rarytasem. Co to były za smaki, jakie zapachy! Wszystkich tych rozkoszy podniebienia zażywałam w ukryciu przed mamą, która była stanowczo przeciwna, by mała ojczyzna w wielce nobliwej przecie osobie dziadka - karmiła mnie regularnie kopczykami cukru, czyli białej śmierci. Ale mama pochodziła z Pomorza, do niej jakoś mała ojczyzna dziadka (teścia) nie przemawiała uwodzicielsko. Nie, dziadku... Nie rób sobie teraz wyrzutów sumienia, że byliśmy w tajnym układzie przeciwko mojej mamie. Tyś chciał dobrze, mała ojczyzna chciała jeszcze lepiej, bo pragnęła mnie ugościć czym chata bogata, z całego serducha, z najlepszymi potrawami ze swojego regionalnego menu. I jeszcze dziadek pamiętał swoje wieczne głodne, powojenne dzieci - czyli mojego tatę i dwójkę jego rodzeństwa, dla których takie chleby i wody z cukrem były szczytem marzeń. Prezentem niedzielnym, takim od wielkiego dzwonu. Tyś przecie nie słuchał w telewizji głupich, najnowszych wiadomości badaczy cukru w cukrze, którzy naukowo kręcąc głowami - głosili, że cukier to biała kostucha. Tyś był mógł powiedzieć, że telewizory bredzą, toż cukier to radość dzieci największa, nagroda pocieszenia świąteczna, podarunek najcenniejszy od małej ojczyzny.

Nie, dziadku... Naprawdę nie musisz mieć teraz wyrzutów sumienia. W twoich czasach miłość do wnuków okazywało się karmiąc je smakołykami pamiętanymi z własnego dzieciństwa. Dla ciebie i twoich dzieci cukier to był cymes prawdziwy, luksus niewiarygodny, towar wiecznie poszukiwany. Dla mnie, nawet w dzieciństwie, cukier był tylko cukrem, ale gdy ty i twoja mała ojczyzna nim dysponowała, zamieniał się w czyste złoto. Wręcz promieniał niezwykłym blaskiem, jak ów cenny kruszec. I smakował mi wybornie. Nie dziadku, nie wypadły mi po nim wszystkie zęby i nie dostałam pomieszania zmysłów (no, może trochę... ale o tej historii nie wypada mi ci opowiadać). Zresztą gdy umarłeś, zabrałeś moje smaki dzieciństwa ze sobą do grobu. Już nic mi nie smakowało z menu małej ojczyzny, bo nie było robione twoją kochającą ręką. Gzik z pyrami zaczął mnie lekko odpychać, smalec na pajdzie chleba wydawał mi się za tłusty, a cukier to już w ogóle stał mi się niepotrzebny. Gdy odszedłeś dziadku z ziemskiej, małej ojczyzny - do wielkiej, niebieskiej ojczyzny, przestałam w ogóle używać cukru. Moje słodkie życie trwało więc wraz z twoim trwaniem, do moich czternastych urodzin. Odtąd omijam cukiernicę wielkim łukiem,

szczerze mówiąc wcale nie mam jej w domu. Tytki z cukrem widuję tylko w szafkach kuchennych znajomych lub w hipermarketach. Najbardziej boleję nad tym, że zabrałeś ze sobą smak pieczonego na patelni chleba i nijak nie mogę go dla siebie odzyskać. Krąży gdzieś wokół mnie, osadza się na języku, już – już pragnę go złapać, ale on mi umyka i zostawia mnie z niczym. Niby mieszkam w twojej/naszej małej ojczyźnie, ale to nie jest już ta sama mała ojczyzna, którą ty i ja pamiętamy. Z jednej strony nic się nie zmieniło, bo ludzkie charaktery zawsze były i będą takie same, zawsze i wszędzie, a z drugiej strony – wszystko się zmieniło, bo XXI wiek wkroczył odważnie na twoje włości i już nie zamierza ich opuścić. Czy gdybyś mógł teraz pospacerować po swojej małej ojczyźnie – rozpoznałbyś w niej umiłowany kawałek gruntu na planecie Ziemia? Czy czułbyś się tutaj jak dawniej, jak u siebie? Czy miejscowe zwyczaje, tradycje – byłyby takimi, jak je zapamiętałeś? Czy byłaby to rzeczywiście twoja mała ojczyzna, czy tylko jej mizerna, niedokładna kserokopia? A może zaledwie jej zarys, jakiś kontur, ślad?

Czy w okolicznym lesie szukałbyś śladów opon SWOJEGO/SWOJEGO/SWOJEGO motoroweru Komar, którym wozileś mnie na tylnym siedzeniu, mimo stanowczego zakazu mojej mamy? Czy szukałbyś gdzieś między drzewami sylwetek swojej i mojej – ciasno, czule przytulonych do siebie podczas szaleńczej jazdy z niewielką prędkością? Gdzież tak pędziliśmy, dziadku? Oczywiście na cmentarz do Lusowa, by odwiedzić grób babci. Pamiętam jak delikatnie o niej opowiadałeś, starannie dobierając każde słowo. Obiecywałeś mi, że na nas patrzy, widzi nasze odwiedziny i cieszy się z nich za każdym razem tak samo mocno. A ja wyobrażałam sobie jej twarz wyglądającą gdzieś spomiędzy chmur nad nami, podglądającą nas z ciepłym uśmiechem, błakającym się gdzieś w kącikach ust. Do dziś, gdy tylko odwiedzam na cmentarzu – was oboje, gdzieś w głębi serca liczę na to, że babcia zerka zza chmur. To właśnie ty dziadku wyczarowałeś przede mną ten niezwykły świat dzieciństwa, arkadię przeszłości posłodzonej cukrem, który wówczas był zdrowy i pożywny. To ty odsłoniłeś przede mną tajemnice SWOJEJ/SWOJEJ/SWOJEJ małej ojczyzny, która stała się wkrótce moją małą ojczyzną. Przyjęłam ją niejako od ciebie przez osmozę, wniknęła we mnie głęboko i osiadła ciężko na dnie mojej duszy. Już nikt i nic jej ze mnie nie wyrwie. Wrosła we mnie za głęboko, stała się nieomal anatomiczną częścią mojego ciała. Oddycham nią i żyję, budzę się zawsze nią właśnie wypełniona i z nią wewnątrz organizmu kładę się spać. Gdybym miała się bawić w domorosłego socjologa czy kulturoznawcę, musiałabym przyznać, że owa mała ojczyzna czerpie z pogranicza kultury niemieckiej: słownictwo, prawo lokacji miast, zwyczaje... Ale przez to nie jest mi ani trochę mniej droga. Wręcz przeciwnie – czyni ją to bogatszą, bardziej różnorodną, pełną ukrytych znaczeń i tajnych kodów.

Choć zawsze wydawało mi się, że dałabym wszystko, abyś jeszcze żył, chyba jednak także cieszę się, że nie dożyłeś współczesnych czasów. Nie miałbyś wokół siebie już żadnego z przyjaciół czy znajomych, stare sąsiady i ich lepkie rączki powymierały. Czy umiałbyś znaleźć wspólny język z tymi mieszkańcami swojej małej ojczyzny, którzy teraz ją zamieszkują? Czy przypadkiem nie zagubiłbyś się w labiryncie okolicznych ulic, w płątaniu dróg i nowych osiedli? Byłbyś teraz tutaj prawdziwie szczęśliwy, czy tylko byś zadowolenie zręcznie udawał? A może twoja mała ojczyzna byłaby już dla ciebie krainą obcą, niczym odległa galaktyka? Czy nadal, po tylu latach, rozpoznałbyś we mnie swoją małą, ciekawską wnuczkę, która zadawała ci miliony niecierpliwych pytań, a ty tryliony razy na nie cierpliwie odpowiadałeś? Byłabym ci obca czy swojska, jak – nie przymierzając, kielbasa? Byłabym ci droga – czy obojętna? Wierzę, chcę wierzyć, że wciąż droga, wciąż cenna, wciąż twoja...

Zastanawiam się dziadku, jak odnalazłbyś się także w czasach pandemii... Bo przecież światowa inwazja niewidzialnego koronawirusa spowodowała, że małe ojczyzny miliardów ludzi na świecie skurczyły się jeszcze bardziej, jak wełniane ubranie wyprane w zbyt wysokiej temperaturze. Ludzkość przez wiele miesięcy zmuszona została do życia w ograniczonych przestrzeniach swoich domów, w zamkniętych prostokątach czy kwadratach istnienia. COVID-19 – niczym wytrawny socjolog, przeprowadził na człowieku gigantyczny eksperyment, którego skutków jeszcze nie znamy, którego wyniki nie zostały naukowo opracowane. Pokurczyły się i małe ojczyzny w dobie pandemii, bo oto ludzie nie mogli się bratać ze sobą osobiście, tylko starali się ograniczać swoje bycie do najbliższej, zamieszkującej w tym samym lokalu użytkowym rodziny. Sąsiad – ten swojski Staszek czy Zbychu, którzy pożyczali nam przysłowiową szklanekę cukru czy szczyptę soli, nagle stali się potencjalnymi nośnikami zarazy. Ewentualnymi pasami transmisyjnymi koronawirusa. Ulegli spektakularnej metamorfozie ze znajomków, swojaków – w nieomal krwiożercze monstra, które mogą zagrozić życiu na planecie Ziemia. Mass media przygotowały tutaj czarny PR – nakazywały społeczną izolację, okopywanie się na swoich (czytaj: bezpiecznych) pozycjach, promowały nieufność człowieka wobec człowieka – czyli dystans. Dziadku, poznałbyś teraz swoją małą ojczyznę, w której sąsiad sąsiadowi już nawet nie wilkiem, ale zarazkiem, widmem śmierci? Poznałbyś dziadku swoją małą ojczyznę, w której dzieci uczą się nie w szkołach, ale zdalnie – przez Internet, równie zmutowanego wiersza Władysława Bełzy, czyli „Katechizmu polskiego dziecka”, znanego i z twoich lat szkolnych?

- *Kto ty jesteś?*
- *Wirus mały.*
- *Jaki znak twój?*
- *Dystans stały.*



- *Gdzie ty mieszkasz?*
- *Między swemi.*
- *W jakim kraju?*
- *W polskiej ziemi.*
- *Czym ta ziemia?*
- *Mą koronaojczyzną.*
- *Czym zdobyta?*
- *Zarazą ohydną.*
- *Czy ją kochasz?*
- *Kocham szczerze.*
- *A w co wierzysz?*
- *W maskę i rękawiczki wierzę.*

Jakbyś się czuł dziadku zamknięty w więzieniu swojego pokoju, słuchając w małym telewizorku wciąż podawanych informacji o liczbie osób zakażonych i zmarłych? Jak byś się czuł dziadku, gdybyś oglądał informacje z Włoch - starszych ludzi umierających na powikłania COVID-19, dla których zabrakło respiratorów, którzy odchodzili samotnie, którzy nie mogli się pożegnać z najbliższymi, których odwiedzały w sali szpitalnej nie pielęgniarki, ale niby - kosmitki, ubrane w kilka warstw strojów ochronnych, chroniących przez zakażeniem? Co czułbyś dziadku widząc obrazy setek i tysiący trumien ze zwłokami ofiar koronawirusa, chowanych w masowych grobach? Może przez umysł przemknęła by ci myśl, że to jakiś rodzaj III wojny światowej, której wybuchu obawiałeś się całe życie? Czy czułbyś atak zabójczej astmy, spoglądając na stare, pomarszczone ciała tych, którym nie dano szansy na walkę z chorobą, bo byli w grupie zaawansowanych wiekiem i obciążonych chorobami seniorów? A może miałbyś tak jak i ja dość tego wyświechtanego, bez końca powielanego przez środki masowego przekazu wyrażenia „wszyscy zmarli mieli choroby współistniejące”? Ów zwrot miał uspokoić nastroje społeczne, no bo przecież to chorzy, ciężko chorzy na szereg chorób umierają, a reszta może czuć się bezpieczna. Reszta to ho - ho! No, ale wkrótce okazało się, że reszta wcale nie ho - ho! Na koronawirusa zachorować może każdy, także młody i pozornie zdrowy. Młodość jednak ma to do siebie, że jakoś nie bardzo wierzy we własną śmiertelność i to zresztą jest jej wielką siłą. Efekty dziadku od miesięcy widać na ulicy. Zresztą - zerknij okiem zza chmur, gdzieś na niebie. Ilu młodych stosuje się do przepisów dystansu społecznego, nosi maski na twarzy, regularnie odkaża dłonie? No właśnie... Ale spójrz także na starszych. Ilu z nich myśli: „E, tam, ten korona.... coś tam, to tylko wymysł z telewizji. Żadnej zarazy nie ma! Ja proszę pana przeżyłam wojnę, obóz koncentracyjny, podwójną mastektomię! Panie, co mi tam jakieś pandemic! Ja się już niczego nie boję, nie mam nic do stracenia!”. Ale czy

rzeczywiście życie to dla seniora takie nic? Przecież trzymają się go często kurczowo, za wszelką cenę. Spychani z materaców przeciwodrażynowych w szpitalach przez żądną mordy kostuchę, wdrapują się na łóżko raz jeszcze i nabierają sił do walki o kilka kolejnych dni życia.

Koronawirus przededefiniował pojęcie małej ojczyzny, okrawając je z całego otoczenia społecznego: parafii, grupy znajomych, sąsiadów. Zawęził owe pojęcie tylko do pojedynczej rodziny, mieszkającej w tym samym domu. Reszta ludzi to już obcy, achtung, achtung, niebezpieczeństwo! Czy kiedyś wróci jeszcze solidarność społeczna i bezinteresowna troska człowieka o człowieka? Liczę na to, dziadku, choć matematyka nie jest moją mocną stroną... Wciąż jeszcze liczę, bo tego mnie, dziadku, nauczył pobyt w twojej małej ojczyźnie: nadziei wbrew nadziei.

## II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

# TADEUSZ CHARMUSZKO

### POLOWANIE

Myśliwi dręczeni długotrwałą beczynnością ze względu na sztucznie wydłużony okres łęgowy (aczkolwiek w telewizji uparcie twierdzą, że można wydłużyć coś zupełnie innego) postanowili, że w wolnym czasie zapolują na wirusa, skoro nikt nie chce wziąć się za niego. Jak mu wypała z tysiąca dwururek, przynajmniej gęsią będzie miał skórę. Wprawdzie jeden minister wziął pieniądze i poszedł. Chyba po maseczki. Długo go nie było, a kiedy wreszcie wrócił opalony, to oświadczył kategorycznie, że już ma tego wirusa powyżej ścieków zrzucanych beztróska do Wisły i przekazał sprawy w ręce prezesa NFZ. Posunięcie ze wszech miar słuszne. Skoro bowiem fundusz dysponuje gotówką na zdrowie, to niech się też zdrowiem zajmuje.

POZ-ety są nadal zamknięte, ale jak mają być otwarte, kiedy już sama nazwa wszystko wyjaśnia: Podstawowa Opieka Zamknięta. Trzeba było uczyć się, by taki skrót zrozumieć, nie zaś oczekiwać wiedzy od nauczycieli, którzy mają tyle własnych problemów na głowie, że nie starcza im czasu, żeby jeszcze cudze dzieci uczyć. Lekarze rodzinni trzymają się dzielnie teleporad, nie kwapią się do przyjmowania pacjentów, natrętów odsyłają wspaniałomyślnie do szpitala, do specjalistów i do wszystkich diabłów. Komuś musi odpowiadać taki chory system, żeby lekarzom rodzinnym płacić od puli pacjentów, czy ich przyjmują, czy też nie. Skąd taka górnoletna nazwa? Powinni zwać się lekarzami dziennymi, a raczej lekarzami jednej chwili. Taka chwilówka, jak pożyczka. Potem zostaje tylko zgrzytanie zębami.

Ja, podobnie jak setki tysięcy innych osób, od lat nie bywam u lekarza rodzinnego, ale kasa za mnie do niego płynie. W skali kraju są to grube miliony topione w gotowości, której nie ma. Jakby tego było mało, każdego popołudnia do rana i od piątkowego popołudnia do poniedziałku rano, chorzy tłoczą się w NPL-ach (Nocna Pomoc Lekarska), bo żaden lekarz rodzinny w POZ-ecie nie przyjmuje, jedzie sobie na długi weekend. NFZ lekką rączką znów płaci za tych samych pacjentów, kiedy wszyscy wokół utyskują, że na ochronę zdrowia wciąż

jest mało i mało pieniędzy. Oczywiście, że mało, o wiele za mało, ale jeszcze te same są na moich oczach beczelnie marnotrawione. Skoro lekarz rodzinny bierze kasę za pacjenta, to powinien zapewnić mu opiekę całodobową, wtedy byłby lekarzem rodzinnym w pełnym tych słów znaczeniu, a jeżeli nie, to należy niezwłocznie zlikwidować kapitałochłonne POZ-ety, natomiast dotychczasowe NPL-e rozwinąć w CPL-e (Całodobowa Pomoc Lekarska).

Najsensowniejszym rozwiązaniem wydaje się zaopatrzenie każdego pacjenta w kartę kredytową z kwotą na podstawową opiekę lekarską. Idziesz do lekarza – płacisz, możesz chodzić do niego codziennie, do upadłego, ale pamiętaj jedno, że jak karta będzie pusta, dalej bulisz za wizyty z własnej kieszeni. Byłby to również znakomity bat na chorych z urojenia, którzy z chodzenia do lekarzy, zwłaszcza do NPL-u, urządzili swoistego rodzaju rozrywkę do zabicia wolnego czasu, zaś faktycznie chory musi przez takich czekać w kolejce. Jednakże jakoś nikt z rządzących się nie kwapi w wprowadzeniem takiego rozwiązania. Kto wie, może trudniej wówczas byłoby z przekrętami i wysysaniem funduszy przeznaczonych na leczenie? W sumie to przecież olbrzymie pieniądze, a chętnych do koryta jest wielu.

Wirus nadal jest aktywny, za nic nie chce odpuścić, utrzymuje stosowny poziom, jak na światową zarazę przystało. Był krzyk i afera, jak zakażonych była setka lub dwie. Teraz, kiedy jest ponad tysiąc, mamy błogi spokój. Jakby na całość nie patrzeć, statystyki są chłodne i nieubłagane, dalej stadnie wymierają staruszkowie, ZUS zapewne zaciera ręce oraz po cichu liczy oszczędności z tego tytułu. Natomiast rząd wprowadził zakaz odwiedzin w DPS-ach. Ciekawe, czy wirus zastosuje się do zakazu?

Nasze społeczeństwo przez ostatnie lata (może wcześniej objawy były niewidoczne, gdyż stłumione przez panujący system władzy) zrobiło się wyjątkowo roszczeniowe i trend ten nieustannie narasta. Najlepiej byłoby leżeć na plaży w Maroku na dowolnie wybranym boku, bąki zbijać i popijając schłodzone piwko, obmyślać – między meczem a walką na ringu – za co można byłoby dostać sowite odszkodowanie. Skręci taki jeden z drugim nogę po pijaku, więc od razu znajduje dziurę w chodniku, żeby od miasta zażądać odszkodowania. Pośliznie się na psich odchodach, trzeba od zarządcy nieruchomości wymusić gratyfikację. Pacjent zmarł przy zabiegu, winien jest lekarz, bo wcześniej pacjent czuł się zupełnie dobrze. Ale skoro czuł się dobrze, to po co poszedł na zabieg? Są kancelarie prawnicze specjalizujące się w dojeniu firm, urzędów i kogo się da, przy sędziowskim wsparciu procederu. Coraz to mam telefon, że mogą mnie wesprzeć poradą w uzyskaniu odszkodowania, o którym mi się nawet nie śniło. Do tego rząd stara się usilnie, by zantagonizować społeczeństwo. Choćby przykład z badaniami na Śląsku i pospieszną obietnicą, że górnicy na kwarantannie otrzymają pełne wynagrodzenie. Ni z gruszki, ni z pietruszki, zostali wy-

różnieni. Czyżby mieli inne żołądki od pozostałych? Oczywiście, że nie, ale nadal są silną grupą zawodową i jak ich rządzący wkurzą, wezmą kilofy i młoty, pojedą do Warszawy i rozniosą ministerstwo w puch. Nawet ojciec Rydzyk nie pomoże. Więc górników trzeba głaskać. Hołubieni są też lekarze rodzinni, co wskazywałoby, że prominentni politycy z grupy rządzącej są właścicielami POZ-etów, zaś pozostałym rząd stara się dokopać, obcina kontrakty i grozi, że w razie ponownego wzrostu zagrożenia epidemiologicznego, będą musieli pracować w jednym miejscu, żeby nie roznosić zarazy. Można z tego wywnioskować, że wszyscy przestrzegają warunków sanitarnych, tylko lekarze w szpitalach nie. Ja natomiast myślę, że zarzę rozniesli wyłącznie politycy, kiedy latali po kraju jak oparzeni, jakby ich szerszenie pożałdliły. Dodatkowo prezydent obwieścił, że szczepienia są paskudne, on się nie szczepił i został prezydentem. Powinien jeszcze dodać, że po wyborach seniorzy mogą bez kolejki odwalić kite. Rząd, w trosce o społeczeństwo, przemycił w tarczy antykryzysowej poprawkę do kodeksu karnego (to z pewnością podniesie skuteczność walki z wirusem), by lekarzy karać za błędy więzieniem, zaś urzędników zwolnić od odpowiedzialności za chybione decyzje. To się nazywa współczucie dla społeczeństwa. Ciekawie byłoby, gdyby wszyscy lekarze w rewanżu odmówili teraz jakiegokolwiek leczenia pomysłodawców, bo przecież mogą popełnić błąd i trafią za kratki. Może wtedy polityczni siewcy nienawiści spuściliby nieco z tonu.

Nieustanną dewizą rządu jest hołubienie wszelkiej maści nierobów i ciągle rzucanie kłód pod nogi, a jednocześnie rozdymanie biurokracji, obrzydzenie życia tym, którzy chcą rozwijać narodowy potencjał i uczciwie pracować. Przecież sam fakt, że rząd jednym daje hojną ręką, oznacza, że innym odbiera. Nie czarujmy się, że jest inaczej. Im więcej chce rozdzielić, tym więcej musi zabrać. Zatem gwoli ścisłości, to nie rząd jest wspaniałomyślny, ale ludzie, którzy chcą pracować i pomnażają majątek tego kraju, a nie leżą z otwartymi dziobami i oczekują jedynie na zasiłek lub zapomogę. Przy okazji rozdawnictwa również są obdarowywani wszelkiej maści cwaniacy i oszuści, gdyż nie ma w tej machinie należytej kontroli (tak dzieje się choćby z dodatkami mieszkaniowymi).

Niestety, rząd najwyraźniej powyższego nie rozumie lub też udaje, że nie rozumie. Hodowla nierobów trwa w najlepsze i doprowadzi wreszcie do takiego stanu, że nie będzie skąd wziąć, aby dalej hojnie nadzielać. Najwyższa zatem pora, żeby rozsądnie zatroszczyć się o tworzących miejsca pracy, nie wynajdywać jedynie nowych i nowych obostrzeń, skutecznie zniechęcających do pracy oraz ciągłego rozwoju.

Ze świata nauki płyną intrygujące wieści. Im bardziej światowe sławy (nie jestem do końca pewien, czy aby rzeczywiście sławy i do tego światowe) zapewniają o naturalnym pochodzeniu wirusa, tym bardziej nabieram przekonania, że on pochodzi z hodowli. Niech mi ktoś zaręczy, że wirus nie jest rządzącym

na rękę. Przecież jak dłużej poszaleje na świecie, społeczeństwa zdecydowanie się odmłodzą, również Europa przestanie być starzejącym się kontynentem. Nic, tylko zacierać ręce z zachwytu. Adieu seniorzy!

Jestem z krwi i kości zagorzałym domatorem. Nie usycham miesiącami z pragnienia, żeby za wszelką cenę zobaczyć skarby Ermitażu lub Luwru, spędzić wakacje na Majorce czy Hawajach, przepłynąć kajakiem Amazonkę lub na wielbłądzie dotrzeć do Kilimandżaro. Nie muszę mieć koniecznie zrobionego selfie na klifie w Portugalii nad Adriatykiem, jak pewni młodzi suwalczanie, którzy w ten sposób osierocili dzieci. Ludzie zupełnie powariowali, najwyraźniej nie wiedzą już, gdzie mają wskoczyć ze swoją głupotą, żeby potem za rozumiale chwalić się znajomym. Jestem odszczepieńcem. Nie marzę o spacerze przy blasku księżycy po chińskim murze lub pogłaskaniu osmalonego koali w Australii, toteż domowa izolacja nie wywarła na mnie większego wrażenia. Odzwyczailem się za jej sprawą od wyjść i spacerów do tego stopnia, że nie mogę zebrać w sobie chęci do jakiegokolwiek wyjścia z mieszkania. Najważniejsze, że od roku jestem emerytem i nie muszę chodzić do pracy. Jedyne, co mnie niepokoi, to szarża wirusa pod hasłem: Hajże na emeryta!

Syn mieszka w Warszawie i pracuje w banku. Od początku związanych z epidemią obostrzeń do chwili obecnej członkowie jego zespołu siedzą w domu, łączą się z bankową siecią i pracują zdalnie. Tylko od czasu do czasu spotykają się w biurze na odprawach. Nie trzeba zdierać butów i tracić czasu na dojazdy. Z drugiej strony firma też jest zadowolona, bo odpadają koszty lokalowe, energii i wody, mniej też trzeba płacić za wywóz śmieci. Wynikają z tego same plusy. Podobno po ustąpieniu zarazy 30% załogi wróci do normalnej pracy, zaś pozostali będą pracować zdalnie. To świetne rozwiązanie, które zapewne dostrzegą również inne firmy i zamiast budować gigantyczne biurowce, będą starały się rozwijać pracę zdalną za pomocą szybkiego internetu, bez konieczności codziennego przebywania w zakładzie. Mniej przejazdów do zakładu pracy i z powrotem, to mniejsza emisja dwutlenku węgla i innych świństw do atmosfery. Gdziekolwiek nie spojrzeć, same plusy widać, a wirusa nie.

Przed zachodem pojawiło się słońce. Na balkonie poddają się pieszczocie ostatnich jego promieni. Jerzyki krążą nad osiedlem, pracowiciele oczyszczają okolicę z komarów.

Dzieci na podwórku hasają w najlepsze, puszczone samopas, drą się wniebogłosy, łamią gałęzie drzew, przeklinają, aż uszy wędzną. Gdzie podzieli się ich rodzice? Bo część na pewno jest w takim wieku, że nie powinny pozostawać same bez opieki rodzicielskiej. Co będzie, jak dorosną? Ubolewam przy okazji, że w szkołach nie ma obowiązkowych lekcji dobrego wychowania, mogą nawet zwać się „kulturalny Polak” albo „zasady ogłady”, byle wpajały dzieciom od najmłodszych lat, jak należy zachowywać się właściwie w różnych okolicz-

nościach i żelazna zasada: nie zostawiam śmieci po sobie! Rodzice uważają za pewne, że wszystko jest w porządku, nauczyciele trzymają się sztywno wyznaczonych ram programu i za nic nie wychylają się poza nie. Pycha i zarozumiałość rodziców dziedziczona jest przez dzieci. W ten prosty sposób z pokolenia na pokolenie, mimo pozorów wykształcenia, naród coraz bardziej nam chamieje. Wystarczy posłuchać rozmowy grupki młodzieży w parku albo w autobusie czy pociągu, żeby stwierdzić, iż ich zasób słownictwa ogranicza się zaledwie do paru, do bólu wyeksploatowanych słów, sygnowanych w słowniku języka polskiego jako wulgarne. Z językiem dorosłych także nie jest najlepiej.

Przymierzałem się do małego spaceru po osiedlu, ale nic z tego nie wyszło. Zamiar spalił na panewce. Nie powiem, żebym tym specjalnie zmartwił się.

Wirus z górniczego przebrzmował się na weselny i dalej hasa po kraju, o wirusie powoyborczym raczej się nie mówi. Na weselu taki wirus nie obłowi się nadto, bo tam głównie młodzi, a on woli raczej starsze pokolenie. I dobrze. Nareszcie jest ktoś, kto chce przygarnąć staruszków, bo do tej pory nikt na nich nie oczekiwał z otwartymi ramionami.

Noszenie maseczek ma swoje pozytywne strony. Ludzie mniej wrzeszczą i pluja, trudniej w maseczce pić i palić. Za to na balkonie pełny wypas, sąsiad kopci jak zdezelowana lokomotywa. Żona ledwo wyjdzie, od razu wraca zgorziona. Człowiek chciałby na balkonie odetchnąć świeżym powietrzem, a tutaj masz babo niespodziankę, sąsiad podkadza równo, na koniec ciska niedopałkiem za barierkę. Wolnoć Tomku w swoim domku. Dobrze, że nie żąda do tego opłat za wędzenie. Jednak na balkonach powinien być zakaz palenia, gdyż dym nie trzyma się wyłącznie balkonu palacza, do tego ci najczęściej strząsają popiół za barierkę, jak też wyrzucają niedopałki na zewnątrz. Dla odmiany warto dodać, że poprzedni sąsiedzi mieszkający nad nami mieli psa, który sikał z balkonu. Trudno im było wytłumaczyć, że to nie jest w porządku. Ale, co tam! Słyszałem, że lokatorzy sami potrafią sikać ze swojego balkonu. Nic dodać, nic ująć. Dwudziesty pierwszy wiek. Pełna kultura musi być!

Zaliczam się do tak zwanych sów. Rano trudno jest mi zwlec się z wersalki, za to spać chodzę koło północy, nawet później, kiedy rozsądek przemawia, że należałoby wreszcie pójść do łóżka. Bycie emerytem w moim przypadku jest fantastyczną sprawą, mogę bowiem wstawać, o której chcę, nie muszę słuchać ujadania przełożonych, przez których wcześniej dwukrotnie znalazłem się w szpitalu. To smutne, że na kierownicze stanowiska po znajomości trafiają mały, którzy w dodatku nie mają szacunku dla innych.

Czas drałuje jak zwariowany. Formuła 1 mojej epoki. Właściwie jest mi bez różnicy, ale w ogólnej puli mogłoby być więcej słonecznych, ciepłych dni. Nie lubię jesiennej słoty ani zimowych chłódów. Chociaż ostatnio nie mogę narzekać, ponad tydzień z rzędu jest pełne słońce, wróg depresji.

O obecności wirusa przypominają maseczki migające tu i tam. Najmilsze są błękitne, bo to jakby niebo w gębie. Takiej (niekoniecznie błękitnej) maseczki nie widziała suwalska ekspedientka na twarzy klientki i nie obsłużyła tej że. Sąd rejonowy nałożył na ekspedientkę grzywnę, okręgowy uchylił, a koszty poniósł Skarb Państwa, znaczy ja również i to jest najgłupsze w całej sprawie. U nas nie są bowiem karani winowajcy, ale całe społeczeństwo. Zdawkowe komunikaty nie odbijają się zwielokrotnionym echem, jak bywało w miesiącach wcześniejszych, coraz śmiej przechodzimy nad epidemią do porządku dziennego. Śmiej podejrzewać, że z wykrywalnością nowych zakażeń sprawa wygląda mniej więcej tak: gdzie zbadają kogokolwiek na obecność koronawirusa, tam on jest, gdzie nie zbadają – tam nie ma, ot i cała filozofia.

Postanowiłem zrobić nareszcie ze sobą porządek, podobnie jak spółdzielnia z zielenią na osiedlu, dokładne golono-strzyżono, żebym był odrobinę podobny do ludzi, gdyż zarosłem jak nieboskie stworzenie. Wkrótce przez zarost nie zdołałem czegokolwiek do ust wcisnąć. Poszedł w ruch nożyk do golenia i nożyczki. Co należało wygolić, zostało wygolone, co należało skrócić lub podciąć, zostało skrócone lub podcięte. Pełna samoobsługa. Oczywiście, nie wynika ona z powodu wirusa i obawy pójścia do fryzjera. Od dawna sam pielęgnuję swoją fryzurę, wasy oraz brodę. W latach szkolnych, przy pomocy grzebienia i nożyc, strzygł mnie ojciec. Chyba jako jedyny we wsi miał brzytwę. Schodzili się do niego okoliczni gospodarze na golenie i strzyżenie. Robił to chętnie i za friko, toteż nigdy nie dorobił się majątku. Potem na studiach kolega raz namówił mnie na pójście do fryzjera. Po tej wizycie wstydziłem się wyjść na ulicę. Powiedziałem, że nigdy więcej u fryzjera moja noga nie postanie. Wyjątkiem był pobyt w wojsku, gdzie strzygli wszystkich równo na zero, jak stado baranów.

Pora wracać na linię frontu, bo niewątpliwie gdzieś ona jest między wirusem a resztą świata. Myśliwi, ładować dwururki!

Bez względu na wirusa jest mi do tego stopnia dobrze, że zatracam się zupełnie i nie wiem, jaki mamy dzień tygodnia. Taki świadomy brak poczucia czasu, jakbym płynął przez ocean i nie znał ani miejsca, ani dnia, ani godziny. Zupełne zawieszenie w czasoprzestrzeni. Zaraz, zaraz, właśnie, jaki dzisiaj dzień? No tak, przecież mamy piątek, koniec tygodnia. Ustalam niniejszy fakt jedynie w celu, aby z satysfakcją stwierdzić, że ani mnie to ziębi, ani grzeje. To dopiero jest pełnia życia.

Zakażeń nadal nie ubywa, nawet jest ich z dnia na dzień dużo więcej, toteż do końca nie wiadomo, ile jest prawdy w podawanych codziennie komunikatach. Czy są one w pełni rzetelne, tym samym miarodajne, czy też stanowią spreparowaną papkę, pożywkę dla mediów żądnych sensacji, żeby miały zajęcie i nie weszły zanadto, co też cichaczem rząd nowego knuje w kuluarach?



Pogoda wymarzona, więc pod wieczór byliśmy wreszcie na spacerze, jak za nie tak dawnych czasów bywało. Najwięcej widać spacerujących z pieskami, taki ich – można by powiedzieć – psi obowiązek. Nie brakuje również dzieci na rowerach. Nikogo nie widać, kto by wyszedł na spacer dla przyjemności samego spaceru, jak my. Może pozostali rzucili się nad morze lub w góry, by zdążyć wykorzystać bon turystyczny, bo to darmowa kasa. Ja im nie żałuję, szerokiej drogi życzę, mogą ruszać choćby na kraj świata, tylko – na litość – niechże nie przywloką ze sobą nowego paskudztwa!

Statystyki dziennej ilości zakażeń oscylują na poziomie 1000+. Może po prostu dlatego, żeby nie mylić z popularnym 500+.

Spekulacje na ten temat są różnorakie. W sumie wychodzi 1500, które komuś trzeba będzie odjąć, aby bilans wyszedł na zero. Taki jest urok statystyk. Ostatecznie odejmie się więcej, żeby było jak w młynie na rozkurz.

Życie tych, których na swojej drodze nie zdusił wirus, tymczasem toczy się dalej. Zagrożenie nadal wisi w powietrzu, choć na dobrą sprawę dokładnie nie wiadomo, jakie ono jest naprawdę, ani też gdzie.

Połowanie trwa, ale trudno rozeznaczyć, kto właściwie jest tu myśliwym, a kto zwierzyną.

### III NAGRODA

# ANNA PILISZEWSKA

## WRÓŻBITA

Dorożka turlała się pylastą drogą w kierunku lasku. Komary cięły okropnie. Panna Weronka Sowelska z obawą zerknęła na siedzącego obok mężczyznę w jasnej panamie, a następnie na fiakra. Tymczasem niebo przecięło kilka suchych błyskawic. Weronce przemknęło przez myśl, że może niebawem lunąć i pokrzyżować plan spędzenia romantycznego południa. Wyjątkowego! Bo oto pośród zieleni, gdy już wypiją butelkę nalewki, Sławomir Wydrzyk, rachmistrz, z którym od dawna łączy pewne nadzieje, zamierza jej się oświadczyć! Wie o tym, bo tydzień temu dozorczydni rozbębniła na całą dzielnicę, że widziała na własne oczy, jak kupował pierścionek u jubilera.

- Prrr!!! - dorożkarz zatrzymał konia. Łypnął przekrwionym okiem.

Sławomir Wydrzyk zapłacił. Sowelska podała mu koszyk z prowiantem. Ruszyli, rozglądając się pilnie za miejscem, gdzie można by rozłożyć kocyk. Wnet mężczyzna postawił koszyk. Odkorkował trunek i wypili po łyku. Wydrzyk objął Weronkę.

- Ciii... Posłuchaj! Czy słyszysz?

- Chyba.

- Jakby dziwne brzęczenie...?

Wstali, strzepując z ubrań drobiny trawy i mchu.

- Poczekaj tu, muszę sprawdzić.

- Nie, nie! Ja pójdę z tobą!

Rozgarniając gałęzie, ostrożnie przybliżali się do źródła dźwięku. Było tam, za leszczyną. Wydrzyk sforsował barkiem płataninę gałązek i dostrzegli polanę oraz rój tłustych much - unosiły się z wściekłym, dokuczliwym bzyczeniem. Ich głos aż świdrował w uszach.

- Tam coś jest!

- Może to martwe zwierzę?

- Jakaś chyba... padlina...

Zapach nie pozostawiał żadnej wątpliwości. Zatykając nosy postąpili kilka kroków. Naraz leśnym powietrzem wstrząsnął histeryczny wrzask panienci We-

ronki: - O mój Jezu! Toż truuuuuuuuup!!!

\*

Komisarz Edward Ukier zaciągał się cygarem.

- Hm... uh! Przydała by się krzta deszczu - westchnął ni to do siebie, ni do swego zastępcy, Bronisława Kózki.

- Praży. Nie przymierzając, siedzimy jak w szabaśniku. A tu pili jak diabli sprawa tego wróżbity!

- Wciąż niewiele wiadomo... - komisarz nie podniósł głowy. Kózka nie miał pewności, czy wypowiedziane słowa są zwrócone do niego, czy może Ukier wymówił je sam do siebie. Chrząknął.

- Rzuć na to okiem - kciuk Edwarda wskazywał włochatego skorpiona, leżącego spokojnie w przezroczystym słoiku. Kózka lekko się wzdrygnął.

- Więc to jest przyczyna zgonu?

- Przeciwnie. Miał go w kieszeni, ale skorpion jest martwy.

- Nnno tak...

- Martwy już od mniej więcej dziesięciu, dwunastu lat. Więc nie jest przyczyną zgonu.

- A co mówią lekarze?

- Na razie mamy jedynie wynik wstępnych oględzin. Brak ran ciętych, kłutych i postrzałowych. Nie został też uduszony.

- Może umarł na serce?

- To zupełnie możliwe. Potrzebuję opinii profesora Pietznera, by wykluczyć morderstwo.

- Założmy, że to morderstwo. Jaki mógłby być motyw?

- Oto zagadka! Oneiros Magnus czyli Zbylut Martwicki. Pasjans, tarot i gwiazdy. Doprawdy, czy taki dziwoląg mógł narazić się komu...?

- Wiesz, na tym abra-kadabra zarobił spory majątek. Może tu o to chodzi?

- Majątek łatwo jest sprawdzić. Lecz co robił astrolog w lasku? Chyba nie wróżył drzewom, krukom ani borsukom?!

- Zwłoki leżały w lasku od czterech dni. Oneirosa tych dwoje odnalazło w niedzielę. Znaczy, wybrał się w czwartek. Może jechał dorożką? Trzeba by wysłać kogo i wypytać woźnicę...

\*

Matylda Pluszka wlokła się noga za nogą. W końcu stanęła, by przejrzeć się w jednej z wystaw. Palcami poprawiła fryzurę.

Głośno przełknęła ślinę, nim ruszyła ponownie. Kroki jej spowalniał strach -

bała się policjantów, którymi straszono ją od małego dziecka. Jeśli coś przeskrobała, rodzice grozili jej: „Bądź grzeczna, inaczej przyjdzie po ciebie policjant!”.

Przeżegnała się chyłkiem, zanim weszła do środka. Na jej widok przodownik Witalis Dorsz nader dyskretnie odłożył pajdę chleba i nadgryzioną kiełbaszkę.

- Słucham?

- Zginęła siostra. Moja siostra Helena...

- Helena, a... jak dalej?

- Wójcicka.

- Więc Helena Wójcicka...? Zaginęła. Nnno tak...

\*

Nad bramą ponurej kamienicy, przycupniętej jak niedźwiedź, widniał po-każny, nadzarty przez deszcze szyld, informujący, iż tu właśnie przyjmuje „Oneiros Magnus - wybitny wielce wróżbita”. Z wilgotnej, ponurej sieni buchał zapach stęchlizny. Weszli. Ruszyli klamką - drzwi były zakluczone.

- Zamknięte. Ale mam tu coś na to! - Ukier wyjął pęk żelaznych wytrychów. Głucho zgrzytnął mechanizm.

W mieszkaniu Oreirosa panował półmrok.

Kiszkowaty przedpokój przerobiono na poczekalnię, gdzie klienci zapewne zwykle oczekiwali na seans.

- Przyjmował ich chyba tam... - szepnął, wskazując na brudną, błękitną szar-  
fę, umocowaną nad drzwiami, na której wyhaftowano napis „Salon magiczny”.

- No, to chodźmy zobaczyć.

Edward odsunął storę. Pokój załało światło. Na granatowych ścianach wymalowano komety i zwierzyniec niebieski. Dostrzegli okrągły stół, zaś na nim dziwaczny karton.

- Do wywoływania duchów! Jest tu nawet talerzyk. Wpierw wywołujesz du-  
cha i zadajesz pytanie. Talerzyk rusza się, sunie po tym kole z tektury i wskazu-  
je odpowiedź. Masz pytanie do ducha? Może do Oneirosa? Może o powód śmierci?

- Dość żartów! Pora się skupić.

- Szklana kula, i karty... O!, tam jest astrolabium i luneta, sam zobacz!

Przeglądali zawartość rzeźbionych szkatuł, kuferków wypełnionych barwną  
mnogością gadżetów, różdek, kurzych łapek i nietoperzy.

Przekartkowali stos ksiąg, traktujących o gwiazdozbiorach i innych dziwach  
kosmosu. Od kurzu w ciężkim powietrzu wręcz kręciło się w głowie.

Komisarz uchylił okno, ale wiatr je zatrasnął.

- Sprawdzimy jeszcze te szafy... Sfotografuj tu wszystko.

- Się wie.

Kózka klęknął, sięgając ręką do torby, którą wcześniej postawił na gwiazdzi-

stym dywanie. Naraz Ukier podskoczył, potracając zastępcę. Upadli. Któryś z nich szpetnie zaklął.

W pokoju coś zadudniło, coś głuchym głosem z zaświatów obwieszczało upiornie:

- Nadchoooddę... jaaaa...

Komisarz pierwszy otrząsnął się z konsternacji. Zerwał się na równe nogi i odbezpieczył pistolet. Szarpnął drzwiczkami, wręcz je wyrwał z zawiasów - za dyndały żałośnie, po czym z piskiem odpadły.

- Słuuuuchaj! Huuuu... Prawdy... Praaaaawdy...

Kózka wstał i otrzepał nogawki spodni. Wewnątrz dębowej szafki, ustawiony na półce stał patefon Victrola - rzeźbiony, od braci Pathé.

- Jasny gwint!

- Ramię z kulką opadło, gdy przeciąg zatrzasnął okno i uruchomił mechanizm...

- Mogliśmy dostać zawału.

- Patefon jest nienakręcony... Zobacz, już się zatrzymał.

- Takie duchy! No, no...

- Tę płytę należy zabrać.

Lustrowanie mieszkania dłużyło się w nieskończoność. Gdy się dobrali do szaf, systematycznie przeczesywali kieszenie ubrań, których wróżbita używał do swych spektakli spirytystycznych. A czegoż tam nie było! Kamizele i szarawary, szlafroki i kapelusze, pstre, bulwiaste turbany...

- Odsapnijmy!

- Siądziemy na jego łóżku. Tylko poczekaj! Zerknę pod ten materac...

- Trawa morska. Porządny. Ma solidne sprężyny. Firma Rolski i Kopfer!

- Nie żartuj. Coś tutaj mamy! Sam patrz!

Cupnęli, przeglądając ostrożnie znalezione przedmioty. Były to: brulion w kratkę, kasetka i metalowa puszcza po wedlowskich cukierkach.

Komisarz dźwignął kasetę.

- Ciężar jak diabli!

- Pancerna.

- Zauważyłeś? Pełno tu różnych papierków po czekoladkach... Oneiros ani chybi był wielkim amatorem słodczy. Ale... co my tu mamy? Ha!

W otwartej puszcze od Wedla piętrzył się stos papierów.

- Korespondencja?

- Owszem. Listy i rozmaite bilety, wizytówki, depesze, zapiski. Zabieramy to razem z resztą dowodów.

- Trzeba to przejrzeć pilnie.

- Może coś się rozjaśni...

\*

Starszy posterunkowy Jan Najder pociągnął łyk gorzkiej, wystudzonej herbaty. Bardzo mocno pocił się od męczących upałów. Rozpiął guzik pod szyją - poczuł się nieco lepiej, ale w swej wyobraźni widział te lepkie krople - jak mu ciekną po karku. Szlag trafi taką robotę! Miał ogromnego pecha, bowiem akurat wczoraj przodownik się szwendał po posterunku. A zjrzał tutaj przechodząc - i skorzystał z okazji, aby zjeść kiełbasę. I właśnie dokładnie wtenczas przylaźła tamta kobieta! Przyjął od niej zgłoszenie osobiście, bo jadł właśnie przy biurku. Najder mógłby zająć się sprawą ciut później. Na przykład jutro. Ale jak pech, to pech! Przodownik Witalis Dorsz był przeogromnym służbistą. Wszystkiego żądał natychmiast, i oto on, Jan Najder, po prostu nie ma wyboru. A niech to! Splunął w stronę spluwaczki, trafiając daleko w bok.

Więc sprawa zaginionej. To niejaka Wójcicka. Helena Wójcicka znana też jako Czarna Lula. Kurewka! Znaczący prostytutka. A takie się pojawiają, znikają, potem wracają... Chadzają własnymi ścieżkami. Zaginięcie zgłosiła Matylda, jej rodzona siostra, przyzwoita mężatka, żona felczera Pluszki. Zresztą czy to istotne, kto zgłosił? Przodownik nie będzie czekał! Kazał sprawdzać, to sprawdza.

Najder usiadł. Pomyślał, że gdyby wyżał koszulę, zebrałaby się co najmniej szklanka obrzydliwej wilgoci. Popróbował się skoncentrować. W mieście jest kilkanaście rejestrowanych dam. Szwendają się tu i ówdzie. Mieszkańcy skarżą się na nie. Sporo jest różnych skarg - ale tej Czarnej Luli jakoś nikt nie kojarzy. Hm... Z ciężkim westchnieniem podniósł wysłużoną słuchawkę, każąc pilnie się łączyć. Na wstępie próbuje sprawdzić w urzędzie sanitarno-obyczajowym, a potem...? A potem, to się zobaczy.

\*

Edward wciągnął dym w płuca, a potem wolno wydmuchał kilka kólek. Kózka kartkował brulion.

- W sejfie są pliki banknotów i biżuteria. Zausznice, kolczyki, całe garście pierścionków. Same damskie ozdoby!
- Myślisz sobie, że on... Że był... rozumiesz, nnnno... przebierańcem?
- Przebierańcem to on był! - ale nie w tym znaczeniu. Złote szaty, ten turban - komediant! W dodatku oszust. Jednak nie to, co myślisz.
- Może więc inwestycja? Jakiś rodzaj lokaty?
- Nie sądzę, aby specjalnie nabył którykolwiek z przedmiotów. To raczej honorarium za te jego usługi - seanse spirytystyczne, wróżenie. W brulionie zapisywał komu i kiedy świadczy. Inicjały i daty.
- Pełną gębą buchalter!
- Ustaliłem ponadto, że miał nieruchomości.

- Kamienice...

- Jakie tam kamienice! Miał prawdziwe pałace!

- Ludziska są jednak głupi. Płacili mu za androny! Za bzdety z kurzego kupra!

- Nie sierz się tak, doprawdy. Nie płacili za bzdety, tylko za swe marzenia.

A marzenia są ważne...

- Mrzonki! Bujdy - pożywka dla lokalnej ciemnoty! I jeszcze te wszystkie listy, depesze, wianuszki kobiet! Te jakieś Róże, Żabusie, Nineczki, Zule, Misiule, Lule...

- Pamięć masz pierwszorzędną. Te panie to prostytutki.

- Skąd wiesz?

- Sprawdziłem rano - bo działały legalnie. Wszystkie zatem są rejestrowane.

Oprócz jednej - tej Luli.

- Że ja na to nie wpadłem!

- Wpadłbyś prędzej czy później. Wiesz, przeczytałem nocą tę całą korespondencję. Co prawda z chronologią jestem trochę na bakier, bo gdzieniegdzie brak dat, ale i tak wyłania się konkretna historia.

- Historia z prostytutkami?

- Właśnie. prostytutki, jak każdy, skrywały różne marzenia: o małżeństwie, o dzieciach, o normalnej rodzinie. I o prawdziwej miłości! Oneiros miał tego świadomość, więc podsyczał te mrzonki. Wróżył im z fusów, z kuli, z linii dłoni i z kart, przepowiadając poprawę losu. A potem na obiekt uczuć podsuwał... samego siebie.

- A one łykały haczyk?

- W czulej roli amanta sprawdzał się znakomicie - kulturalny, szarmancki... Miał pieniądze, szacunek, poza tym był popularny. Zdawał się być wiarygodny - same chciały mu płacić! A płaciły czym miały - kolczyki i zausznice zastępowały pieniądze. Obiecywał im cuda, gwarantował małżeństwo... Póki miały czym płacić! A jak już je wycykał - won!

- Nie było konkretnych zgłoszeń! Nie było najmniejszej skargi...

- A kto by to brał poważnie? Więc odprawione z kwitkiem podkulały ogony i tyle. A!, jeszcze zapomniałem ci powiedzieć, co ustalono. Dorożkarz wioził w czwartek wieczór Oneirosa do lasku! I nasz astrolog jechał w towarzystwie kobiety!

- Jakiej?

- Z opisu fiakra młoda, średniego wzrostu. Buzia miła, włos czarny. I była w jasnej sukience.

- Ho!, to wiele wiadomo! - sarknął Kózka.

- O drugiej będę się widzieć z profesorem Pietznerem i będziemy krok dalej. Poznamy przyczynę zgonu...

\*

Najder poszedł na skróty. Zaczepiła go handlarzka kwiatów. Wybrał bukiet fiołków dla swej żony Agaty. Upał zelzał i wreszcie można było oddychać. Z przyjemnością pomyślał o domowym zaciszu. Zapłacił. Nie żądał reszty. Gdy chował pugilares, wtem potrafił go w plecy rozpedzony przechodzić. Już - już miał nań gniewnie sarknąć, lecz rozpoznał w mężczyźnie komisarza Ukiera, więc usunął się z drogi i uprzejmie przeprosił. Z trwogą zerkał ukradkiem, czy ów bardzo się gniewa, lecz komisarz się tylko lekko uśmiechnął, zagadnąwszy życzliwie: - I co tam dobrego, Najder?

- Dzień dobry, panie komisarzu. Wszystko jak trzeba...

- Fiołeczki? Jakże urocze!

- Prawda? Jestem po służbie, zatem śpieszę do żony...

Do spotkania z profesorem Ukier miał jeszcze kwadrans. Na odchodnym, być może w poczuciu winy, że w zamyśleniu niechcący potrafił wystraszonego Najdra, mimochodem zagadnął: - A... jak tam na posterunku?

- Wszystko wzorowo! Wczoraj tylko jedno zgłoszenie o zaginięciu kobiety. Wszystko pilnie wyjaśniam, sprawdzam w każdym szczególe. To Helena Wójcicka, Czarna...

Ukier już niemal zniknął za rogiem. Najder, by zdać się skrupulatnym, nabrał w płuca powietrza i rzucił w ślad za odchodzącym: - Lulaaaa!

Komisarz stanął jak wryty - przez chwilę nie miał pewności, czy się prześlęczał. W paru potężnych susach zawrócił - i jak spod ziemi wyrósł przed zdumionym Najdrem.

- Najder, co ty powiedział? Jak się zowie ta panna?

- Wójcicka Helena. Czarna...

- Lula?!

- No tak.

- Kto zgłaszał zaginięcie?

- Siostra.

- Przyniosła jej fotografię?

- Tak.

- Zgłoś się z nią u mnie, Najder, punktualnie o czwartej.

- Ale...ja, panie komisarzu, jestem dziś już po służbie...

Ukier jakby nie słyszał.

- Aaa... żona? No i te kwiatki?

- Najder, pilnie o czwartej!!!

\*

Kózka bardzo się śpieszył. Musi odnaleźć fiakra! Rozglądał się dobrą chwili



łę, po czym stanął przy jatkach, wachlując się kapeluszem. W cieniu, obok apteki stała pusta dorożka, szkapa i kilku kudłatych mężczyzn. Któryś z nich będzie wiedział, czy gdzieś się kręci ten fiaker - starczy podejść i spytać.

Dorożkarz ponoć był w knajpie. Jakiej? A, tego to nie wiadomo!

Kózka kupił gazetę. Z nudów zaczął ją czytać. Skoro tak, poczeka sobie na niego. W końcu musi się zjawić, jeśli zostawił dryndę z zaprzęzoną chabełką. Pobieżnie wertował stronicę. Wnet rzucił mu się w oczy nagłówek: „Masaakra czyli tajemnicze morderstwo”. Zamrugął. I zaraz czytał: „W lasku odkryto zmasakrowane zwłoki Oneirosa Magnusa, cenionego badacza ciał niebieskich i nieba, szanowanego obywatela miasta. Policja nic nie robi w sprawie złapania mordercy...”.

Kózka zgrzytnął zębami. Kto to gównem podpisał? Jakiś Cnotke? To, oczywiście, pseudonim. Do diabła!

- Panie, szukał mnie pan? Mówią tutaj, że szukał.

Wionęło zapachem taniego piwa i śledzia. Mężczyzna kiwał się nieco.

- A... to pan od dorożki? Czy pan Nazimek Florian?

- Ano. To kursik dokąd?

- Kursik będzie do lasku...

\*

Najder usiadł na ławce. Zapalił papierosa, pod nosem klnąc na czym świat stoi. Że też musiał się napatoczyć komendant! A żona będzie się wściekać. Spojrzał na oklapnięty bukiet.

Zamyślał go cisnąć precz, lecz zobaczył kobietę - zasepioną i smutną. Gdy przechodziła koło jego ławeczki, wstał i wcisnął jej w garść pachnące, omdlałe kwiatki. Najder dostrzegł obrączkę na jej serdecznym palcu, lecz to nie miało znaczenia, ponieważ ani mu było w głowie nawiązywać znajomość. Żal mu było fioleczków i dziewczyny - ot, co! Spojrzał ponurym wzrokiem za odchodzącą - gdzieś w głowie mu zaświtało, że już kiedyś ją widział. Ale kiedy i gdzie? Zmęczony upałem umysł pracował ospale. I naraz błysk - rozjaśnienie!

- Pani... Pani Matylda?

Zatrzymała się. Obróciła.

- Pan jest... z Klubu Poezji ?

- Nie z poezji. Z policji.

Twarz Matyldy pobladła.

- Z policji?

- Szanowna pani, to właśnie ja badam sprawę zaginionej siostrzyczki...

- Helenki?

- Tak.

- Ale wtedy był taki policjant... Taki gruby... Pardon, chciałam powiedzieć całkiem inny.
- Owszem, wtedy był Dorsz. Jednak rzecz badam ja! I pragnę panią zapewnić, że dokładamy starań.
- Ale... to nieaktualne.
- Jak to? Czy mam rozumieć, że się siostra znalazła?
- Tak jakby. To znaczy otrzymałam od niej depezę. Zagraniczną!
- Od siostry? Więc sprawa skończyła się... pozytywnie?
- Oh! Pozytywnie? Tak jakby...

\*

Konwersacja z dryndziarzem nie wyjaśniła więcej, niż to, co już wiedział. Czy była to Czarna Lula czy też inna kobieta? Nie można więcej ustalić bez fotografii!

Przykazał się zatrzymać dokładnie w tym samym miejscu, w którym wysiadł Oneiros. Jeżeli to był przypadek, czyli na przykład zawał, to dlaczego kobieta zostawiła go bez pomocy? A jeżeli morderstwo? Hm... dowie się dziś od Ukiera. Zależy co stwierdził profesor Pietzner.

Mógł sobie spokojnie czekać, jednak coś mu kazało jechać do tego lasu... Nie wiedzieć czemu wspomniawszy dostojnego mentora, zmarłego już Alojza Rolke, który to zwykł powtarzać: "Przestępca zostawia ślad. Nie ma takich przestępców, którzy nie zostawiają śladu. Jeżeli jest przestępstwo, a nie znalazłeś śladu, musiałeś ten ślad przeoczyć. Szukaj zatem od nowa - a zacznij od samych podstaw!"

Primo: czy jest przestępstwo? Tego wciąż nie wiadomo. Ale jest niewykluczone! I jeśli było morderstwo, możliwe, że coś przeoczono. Więc musi zacząć od podstaw. To dlatego tu wrócił! Choć teren został zbadany, a ślady zabezpieczono, nie zaszkodzi się przecież porozglądać ponownie. Zresztą cóż to za ślady! Tylko koszyk i kocyk - własność tych narzeczonych, którzy odkryli trupa.

Kózka szedł ku polanie, gdzie znaleziono zwłoki, szkicując w swych myślach trasę, jaką mógł iść Oneiros. Wstępny ogląd nie przyniósłżądanego efektu.

Dumał. Pewnik: magik przybył z kobietą. Był wieczór, lecz jeszcze jasno, jak zapewnia dorożkarz. Więc z kobietą... Jeśli dostał zawału, dlaczego mu nie pomogła? Lecz się mógł z nią pokłócić i ona się obraziła, i wróciła osobno. A on dostał zawału potem...

Pilnie lustrował, sprawdzał, aż poczuł, że jest zmęczony i że pieką go stopy.

Już miał opuścić zarośla, by puścić się w kierunku rozrzedzających się drzew, stanowiących granicę lasu, gdy coś błysło i zgasło. Powiódł wnikliwym wzrokiem. Był to słoneczny promień, jaki odbiło szkło. Ot, rzucona niedbale opróżniona, zakorkowana butelka, zasłonięta przez korzeń, sterczący z mchu. Kózka podniósł ją. Patykiem oskrobał z brudu. I wtedy zauważył w jej wnętrzu ma-

leńki zgnieciony drobiazg...

\*

Ukier zmarszczył czoło. Myślał długo, usilnie. Czarna Lula leżała na blacie biurka i uśmiechała się z fotografii. Najder mówił, że wysłała depeszę z Paryża - do swojej siostry. Oczywiście, że musi porozmawiać z tą Pluszką i zobaczyć depeszę, jednak jak na ten moment wszystko zdaje się jasne. Jest denat, morderca, motyw - sprawa niemal skończona. Rozwiązana zagadka! Pozostaje tylko odnaleźć tę całą Lułę-Helenkę, a następnie przyskrzynić... Tylko jak, skoro Lula dała nogę do Francji?

Drzwi otwarły się z trzaskiem. Kózka klapnął na krzesło.

- Masz we włosach igliwie...

- Mam coś! Trzeba zobaczyć...

- Zgoda, ale za chwilę. Siądź tu bliżej i słuchaj.

Kózka przysunął krzesło.

- Więc sprawa wygląda tak: Pietzner stwierdził otrucie. Arsenik. Był w czekoladkach. A Lula to właśnie ta! - komendant stuknął paznokciem w fotografię na biurku.

- Może fiakier ją pozna?

- Właśnie! Tylko że nasza pliszka... wyfrunęła z pułapki. Wygląda, że było tak: zawiedziona Wójcicka vel Lula zwabiła maga do lasu. Tam dała mu czekoladki z nadzieniem bardzo specjalnym, a Martwicki je zjadł. Powalony trucizną leżał w lesie od czwartku, i leżałby tam nadal, gdyby nie para młodych. Tymczasem Czarna Lula nawiała. Co mi chciałeś powiedzieć?

- Zobacz, Edward, co mam... - Kózka wyciągnął znaną butelkę, wydłubał paperek i z trudnością odczytał: „Nie strasz skorpionami, przywróćmy miłość. Kocham. Mam coś. Dam Ci wieczorem w czwartek. Róża”.

Komisarz wyrwał mu świstek, prześwietlił wzrokiem i boleściwie zawył: - Róża? Róża nie Lula??? Rozsypała się układanka!!!

\*

Telefon głucho zabrzączał. Kózka podniósł słuchawkę.

- Edward?

- Jest sukces! Dorożkarz rozpoznał Różę!

- O?! Skąd zdobyłeś zdjęcie?

- Od Zuli, jej koleżanki. Szukałem, no i znalazłem. Obie są rejestrowane.

- Gdzie podejrzana?

- W szpitalu! Otruła się.

- Co takiego?!

- Arsenik.
- Przesłuchałeś ją wstępnie?
- Niestety, to niemożliwe. Niebawem stanie przed sądem...
- Jakim znów sądem?!
- Bożym.
- Co takiego?!

- Ta Róża wraz z koleżanką po fachu najmowały mieszkanie. W suterenie. Byłem tam, rozmawiałem z ową współlokatorką i wygląda to tak: Martwicki oszukał Różę. Gdy mu źródło dochodów zaczęło mocno usychać, straszyl ją swymi...eee... rekvizytami. Konkretnie zaś skorpionami, gdyż się bała pajaków. A kiedy wszystko doszczętnie wycykał i Róża już nie miała więcej banknotów i biżuterii, zerwał z nią związek. Definitywnie! Zakochana dziewczyna wciąż jednak stawiała na miłość - dlatego się umówiła. Okłamała magika, że ma jakieś pieniądze i że mu je doręczy. Wyobrażała sobie, iż zapewnienia o żarliwych uczuciach starczą, aby Oneiros wrócił. Lecz była zdesperowana. I brała też pod uwagę, iż przewracaniem oczu z przeogromnej miłości może wskórać niewiele. Zabrała więc czekoladki. Pojechali do lasu. Tam wypili szampana i od słowa do słowa Martwicki odsłonił okrutne karty. Pojęła, że wszystko na nic.

- Wtedy mu dała pomadki...
- Bez skrupułów je zjadł!

\*

Ukier podał ramię swej matce.

- Cieszę się z twej wizyty. Przyjechałaś specjalnie, by zrobić mi niespodziankę?
- Owszem, by zrobić niespodziankę i tobie, i sobie. Mamy dziś małe święto - rozwiązałaś zagadkę. Piszą o tym wszystkie gazety!!!
- Gazety wciąż o czymś piszą.
- Czeka cię sława, kariera...
- E, tam.
- Nie jesteś ciekaw przyszłości?
- Nie bardzo...
- A ja owszem!
- Dokąd idziemy, mamoo???
- Zobaczysz, zaraz zobaczysz! Obiecuj, że nie uciekniesz!
- Obiecuję. Więc? Cóż to za tajemnica?

Wnet starsza pani stanęła i drążącym z emocji głosem oświadczyła: - O! Jesteśmy wreszcie na miejscu!

Ukier przyjrzał się kutej bramie, nad którą przymocowano wielki, pstrokaty szyld. Zamarł, kiedy odczytał: „ONEIROS II MAXIMUS”...

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA  
KASZUBSKO-POMORSKIEGO

HANNA MAKURAT-SNUZIK

ÒDEZWA DO KANDIDATA  
NA CZŁOWIEKA

Żij z węcyniãtã szëjã,  
a jeżlë wszëtkò wkół òznòczò strach,  
mùszisz wëzbëc sã wszëtczégò.  
Òd zòczątkù do kùńca  
nie wierzgòlë za baro swòjã cëniã,  
nie zapadòj sã w se,  
cobë nie zdëszëc do nédzi  
spłakònëch bënë szeptów.  
Lepi zamëkòj krzik cëszenë,  
ùczacë lëdzy nieba.  
Nie bądżë zgòdã,  
cobë tã przë tim sóm stracył  
swòjã gwòsnã smùgã swietlëstã.  
Òsoblëwò, czedë mdzesz ju stòri,  
wëdzobùj dokłãdno òkrëszënë widu,  
nawetka czëj zdówò sã, że szmakajã za niczim.  
Nie dopùscë, zëbë coskòlwiëk wëstëdło,  
zëmã dogrzewòj mrozë  
i sprawiòj, cobë rozchòdało sã jich cepło  
w tim i tantim zëwòce.  
Nasz kandidacë na człowieka,  
przëtròfkã nie ùpòdobniwòj sã  
do cwiardoscë bezdësznëch kamów.  
Ùsmiëwòj sã nawetka do strachów,  
cobë tã w kùńcu dobrze wëszedł  
na òdjimkù wszëtczich lëdzy.

## MÒNOLOG STARËSZCZI

Jak zdrzec czedës i terò, tam i tuwò,  
wiedno jem rëchtowa sã na wszëtkò  
i dniama a nocama bëła paròt na czas.  
Równak tegò, że bãdã stòrò,  
to jò sã nigdë nie spòdzëwa.  
A jò móm leno dzewiãcdzesãt jeden lat.  
I ju jem pògrzebónò w smroczenië.  
Trwòdzi dozdrzeniałë zaczãłë mie swiecëc.  
W òtchlaniach chłodu  
dzëń w dzëń bùdzã sã z chòrosã  
flëdrów piersów i zwiãdłosã jelitów.  
Wëszczërzò sã ze mie snòzosc,  
bò jò sã stała przëkładã wëmieraniò  
gwësniégò gatënkù zymkù,  
chtëren ptòchóm i niemòwłãtóm  
zòzdrosy młòdotniégò wiëkù.  
Jò to ju równak jem zamierzchlã dësã.  
Niebòrczka ze mie, przekwitłò wietew krëchò,  
pùstostón, cëniò w strachù zamklò.  
Jò jem tak stòrò, że płaczã.  
W dodòwkù wcyg zabòcziwóm  
i nie pamiãtóm, ò czim móm zabëté.  
Miészò mie sã jawernota i dëchë.  
Òd niedòwna w gangach rózeńcowëch dzejóm,  
starajãcë sã, cobë mòje mòdlëtwë bëłë czëkawé  
dlò Bòga i bez widocznégò pòdstãpù.  
Stale czwiczã sã, żebë pòdkòpac niebò,  
bòjãcë sã dërch, że równak mie nie przëjmie.  
Nimò wszëtkò nie chcã  
mieszkać w ùszłòce. Przez to  
sama sobie wcyg nie pòzwólóm ùmrzëc.  
W zëcym jò miała ùwòzanië dlò swòji dësze,  
nimò to wiém, że i tak zgarnie mie  
slepò zemia i na pòlach smiercë  
aresztëją mie kròlowie zmarłëch.  
Starota zòs ju òstała ògłoszonò  
przëstaniã pòzëgalnã  
przed bezwzglãdnym kuńcã całégò mòjégò swiata.

## MÒJA SMIERC JESZ SO SPI

Błogosławionô cészëna,  
mòja smierc jész so spi.  
Sënã sã na kùnòszkach pòlców  
barzi niesłészalno nigle pò krëjamkù.  
Z daleka òmijóm  
trzãsenia ziemi i jiné stratë swiata.  
Pò drodze jaczis pùjk  
sle mie pòzdrówczy zeza rutë,  
ùsmiéchniãti i nieòdpòwiedzalny za nick,  
jakkbë ò niczim nie wiedzòł.  
Kò timczasã smiercë nicht nie przeził,  
tak samò z zëcò nicht nie dòł radë wiñc zëwi,  
ani ni mógł sã wëzbëc gwòsnëch narodzyn.  
Wdòrzã so, jak pierszi rôz jò òdkrëła, ze ùmrzã.  
Baro jem żałowała tedë,  
że w ògle sã ùmiérò na swiece.  
Czëż nié lepi bë bëło  
pòmnożëc zëcé przez nieskùñczonosc  
abò dodac do niesmiertelnoscë?  
Wierã to są lëché czasë,  
skòrno w ògle nie dò sã  
ùniknac etapù wiecznoscë.  
Bòdòj leno wëmarti ju nie ùmiérãją.  
Równak chto chce,  
cobë bëł mù namieniony kawel cëni?  
Kò na òdériscë nigdë nie je za pòzdze.  
A wszëtczich wierã  
ùmiéranié baro bòli,  
czej zédzer pòłknie czas.  
Mòże lepi bë bëło wierzëc,  
że dosnie sã biliet na pòsobné zëcé...  
Gdzes pòmiedzë terò a nigdzie  
długò jem sznëkrowała za òdpòwiescã,  
a òdnalòzała same wëzgòdci.  
Teròzka ju nie chcã nawet rozmiac,  
z czegò ùmiéranié mò sã składc.  
Sama wcyg równak czëjã sã pòkrziwdzonò,  
bò jednégo razu òbudzy sã

ta spiącô mòja smierc,  
òtemknie sã i ju òtemklô rzeknie: pòj!  
A jô wińdã tedë ze siebie,  
weznã wszëtã nã smiertelnosc òd ni  
i całą sobą przeminã.

## RUJANOWÉ PÒGRZEBĚ

Wszëtce ùmarli òbecny  
- na pògrzebach lata.  
Chtos gòdò: bãdże dobrze,  
to jesz nie je smierc,  
chòc wëdrzi tak na zòczątkù.  
Trzeba terò òdebrac  
nadcygającé deszcze,  
w rujanie  
zòs bëc przërëchtowónym.  
Na trotuarach pòłożã sã lësczi  
ùkùszkóné piòskã i farwã,  
a wiater pòszëmi w dãbach.  
Ùlewë stopiã chòdniczi,  
tòszczy próžno mđã wëzerac za słuicã.  
Wszëtce zacznienië schadac w tunele  
cemna nocama i zanurzimë sã  
w òlejisté òbłoczi pòrosłé  
cemnomòdrim òplotã.  
Kwiatë odéńdã so,  
taczé dzurawé i zamklé.  
Całosc mdze wëdawac sã smùtnò i stòrò,  
w mòkrëch pòmariłò mańtlach,  
òbrónò ze skórë,  
niewidzącò, niemò,  
ùnurzónò w pòdzemnych kòrëtach  
zmarachòwaniò i krãpów,  
ale to jesz nie bãdże smierc.  
Òna przinđze za miesąc -  
razã ze wschòdã lëstopadnika.



NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

KLEBBÓW MATIS  
(POL. MATEUSZ KLEBBA)

JAK DŁUGÒ

Zwãczą słowa pò ùszach  
Pò malinczich lëpach mòji wraźlëwòtë brzëmiã  
Zwãczą pò nocach  
Zwãczą i wcyg brzëmiã  
Skòczą ze skarniów w mësłë  
A zòs  
Słowa lëdzy  
Grëzą jich pchlë  
szemarzą, szkalëją, grëzlëją  
Dërch

## KÒGÙM JES?

Czej na sztót môłi stóniesz  
Òkã nowim  
Zazdrzisz do te czasu,  
Òstawi tej se  
Waspana, dochtora, profesora  
I zôs bądzkôj Jankã, Franckã z IA, IIB  
Wësądzë  
Z àutoła w lizyng na firmã wzãtégò  
I zôs jidzkôj piechti  
Zgùbi klucze do chëczë na kredit  
Kònsolidowóny ju tëlé razy  
I zôs żuzkôj midzë biurkã a ksążków pòlëcã  
Nie robita ze mie pana

Miôł jes tam lat pòrã, nòsce, dzescë  
Wierzył jes tej łatwò  
Wszëtkò zdòwa sa tej bëc blëszczé  
Rozmiôł jes tam-sam, tej-sej  
Le nie rozmielë tak baro, nijak, Ciebie  
Kò ni miôł jes tej jész brëłów  
To wierã dlòte  
Chcòł jes tam co?  
Zmienic swiat, tak baro, doch jo  
Dobrë chòc le to

Wrócył jes z wanodzi w daleczich krëjamnotów czar  
Terò lizë lecã  
Bëlno tej  
Ideałów môłëch - wiòldzich  
Nie przedawôj  
Z dównëch  
młodëch lat

## HOMO JIŹE SAPIENS SAPIENS

Je òn jistny do drzéwiëca  
Do scãti wietwie  
Co czej swieżô wcyg  
Sztôłt, wôrtnotã, cél  
Dac ji mòże jesz  
Le czej zeschnie  
grëpa solë mët

## PÓLNÔ 6

W stòrim kartągù, czësto  
Na jegò spòdkù  
Òbrošli mechã  
Zakùrzony  
- òd sto bòdôj lat  
Leżi  
Niewërazny òdjimk  
A czëc z nie  
Tacowny dokôz  
je...

„Przódë, nie pamiãtôsz gwës  
Nòbòzny  
A dzywny dzysô tak baro szewc  
Płomkã stolëmnégò serca  
Ë rãkã  
- zmarachòwanã zacht  
Tak, jakò kròwc  
Pòchnãcã lnu pòlã  
- kòszlã  
Sził...  
Piekôrz chlëb  
- brzòd pròcë swiãti

gbùra, mlënòrza a jegò téz  
Cãżką lizã  
Przëżegnòł zòs  
A dali szpiek  
Co gò  
Na Gòdë flészer  
Ùrëchtowòł  
Szmakalë drist”

Le dzysò ni ma ju  
Szewca,  
Chleba ni ma mët,  
Òstòł leno òdjimk,  
Bél jegò króm  
- na Pòlny 6.

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA  
KASZUBSKO-POMORSKIEGO

ADELA KUIK-KALINOWSKA

JESZ ŻEBĚ RÔZ...

Biôjta ju  
biôjta  
mòdrôczy  
z zamklima ôczama  
piérwi mëslë  
dłudżim jãzëka słowów  
ùbiegną przez grańcã  
przez bùkwitã  
prosto i slepò  
w ten czôrny las  
bãdã znôwù  
na sãkù chójczy  
wiészôł stôri mańtel  
w jaczim dzura gòni dzurã  
a wiater z nich wënëkò wiedno  
taczy zyb  
gnôtë jaż do bielëznë  
przekulë skórã  
nie gòją sã  
łóńszczégò zëlnika  
le pôrã trówów  
bëła dërch przë mie  
mùjkała skarnie  
cãżczë głowë mëslów  
tak bëm leno chcôł  
wëcësnąc kòzdi  
zyb pamiãcë  
i ôstawic na wieczy

malinczé rësë  
przez jaczé słunuszkò  
czasã do mie sã smùli  
chto bë pòmëslòł  
że òd dzys do witra  
kòlibie sã zëcé  
w ti môli balice  
co piérwi mëmka  
nas w ni kapała  
ach! jesz zëbë rôz  
głowa na snopie ówsa  
kòpice sana  
i reszta cała  
mògła sã zwałëc  
i òstawić wszëtkò  
w miészku  
z kwiôtuskã lnu.

## DĀBÒWÉ ŁÓŻKO

To dābòwé łózkò  
Gdze plecë sã na dëlu prostëjã  
Cwiardé, ze drzënia dābù przërëchtowóné  
Na twòjich sākach liczëła jem swëgò zymkù lata  
A pòrechòwac jich nigdë do kùńca ni mògła  
Wslëchiwała sã w dzywny chrobòt  
Nie wiedzec skądka? na co? i pò co?

To dābòwé łózkò jaczé mie delë  
W dzén slëbù w darënkù  
W noc pòslëbnã dostawilë  
Jesz jedno taczë samò, cwiardé  
Jak dzëwczã i knòp czedë sã razã rodzã  
Dłò chłopa mòjégò  
Ten dël wiedno pòmiedzë nama...

Dābòwé łózkò òstatny rôz  
Jaczé robòk chùtkò grëze  
tak w zemiã z gnòtama pùdze

i przëkrëje wilgòtnò glëna  
nen zòłti piòsk glãbòk przëjimie  
jaczi je nóm za zëcò pisóny  
w tim dãbòwym lózkù jem ju sama.

## ZÉLNÔ BABA

Jò nie jem jak wszëtczé bialci takò sama  
Jò nie teskniã za chòpsczim remieniã  
Dzòtków na swiat nie rodzã  
Wieczere nie gòtëjã, statków nie rozklòdóm na stole

W mòjich mëslach je całi zélny swiat  
W mòjich rãkach zela przemieniują sã w léczy  
Dzëwanna, kléwer, mietlëca i piołun  
I dzëczy dzãdzël, rëmiónek i pòkrzëwa

Procëm zloscë tegò swiata zbiéróm  
Dlò miłotë knòpa i dzëwczëca warzã  
I dlò òdegnaniò krzëwégò wzëraniò  
Czedë dzòtëczy chòwają sã pòd jarzëbinã.

To je mòja redota i ùkrëtò sëła  
Z daleka òd lëdzy i jinszych zëwëch  
Ze swiatã ùmarlëch gadac  
Słëchac cëchi mòwë wszëtczych kwiatów.

Jich szeptaniów nigdë ni móm dosc  
Z cekawòscë pròwdzëwë ùchò nadstòwióm do nich  
Òne ò zëcym ùkrëtim i jegò krëjamnotach rozpròwiają  
Mòwã le rozmiałą dlò Wastnë nocë i dnia.

## W TI STÔRI STODOLE...

Zabilë wrota ti stôri stodołë  
rëmòt rôz dwa trzë  
jakô pamiãtała jesz  
króla Pòpiela  
co gò mészë do resztë wpùcowałë  
na ji krzëwëch balkach rechòwòł jô  
sãczy zëwicznëch chójk  
a w mëslach widzòł las  
przez jaczi wiater mùjkòł  
jigłëwié wòskã wëgladzoné  
zelonym w zelonosćë swòji  
sokã zemi wëkòrmioné  
w malinczich nòrcëkach baszków  
zòrenka jesz sã przed swiatã chòwałë  
bëlë czësto nadzë  
do swòjégò zëcégò  
nie przërëchtowóné.

Ta wiòlgò stodoła  
co prawie całi swiat  
w sobie miescëła  
na dole ji klepiskò jakbë  
chto rãkama ùbił przez  
sto lat  
abò i lata lateczne  
wieczi całë  
jak w czerzence masło sã chlastò  
tak òna swòj brzëch cwiardi  
rozłòzëła dlò zòpòlë jedny i drëdži  
na biodrach Éwë wzniosłë sã balczy  
tak wësokò jak w gòticzi wiezë  
cenkò szpica jidze prosto  
w sóm westrzòdk nieba  
na tëch balkach  
co mòglëbë pól swiata dwigac.

Gnòcësté Adamòwé remiona  
wzniosłë sã do nieba



a na jich samim czëpie  
mùca z wëpòlonëch w glënie  
dakówków z rëbima  
lëzgama w słuńcu sã skrzëła  
a deszcz mòklëznë zléwòł nama plecë  
òd snopów we żniwa  
jaczé pòd sóm żebrowi dak szlë  
òstrzama widlów w górã jesmë ùpakòwelë  
mëmka błogòsławiła  
pierszi na klepiskù snop  
jaczi pòmiescy wszëtkò  
czasã sã nocã zdebło zdrzémnał  
rechòwòł gwiondzë jaczé zazerałë  
w dzurë dakówczy abò i strzënë  
z jezorów w pãczy zebrónë.

Meslòł ò lëdzach, jich krzepie  
i mòcnëch w sëlã rãkach  
co Stolemë mòglë bë sã z nima równac.  
Pierwi chłopi i bialczy bëłë tima  
co z przòdkù Adama i Éwë  
za rãce mòckò sã trzimełë  
chwëcmë sã jesz rôz  
czë chto mòże so pòmëslec  
czim bëła ta wiòlgò  
drewnianò stodoła  
jak beczka słodczégò wina  
pòcha lata i jegò bòkadoscë  
jaż w głowie sã krącëło  
jakkbë chto na chwaczcégò kònia  
sòdl i galop, galop  
na kùńc jantarowégò miesąca  
chcòł sã dostac.

A mietlëca i żëto, piòłun i pszénica  
z ówsã pòwiòdała so  
na wiòldzé zbòżowé ùchò  
o latach latecznëch i stòrëch dzejach  
jak wiòldżim  
drabiniastim wòzã wjachalë

kònie dwa  
czòrny jak smòła Cëgón  
i bruny jak òrzech Kùba  
jaż lécczi sã wëprzëglë  
i ùzda spadła  
prrr, prr stójta że wa...  
stanãlë a jò  
czasã czej leżã  
jak slëmiérń na ti bòkadoscë lata  
a pòcha żniw we mie sã gòtëje  
jak w tigu brzadowé wino.

Zybòtanié skórë ni mô kùńca  
kòzdi atom na ni sã òdmikò  
jakkbë chto w drëdżi żniwienié  
chcòł zaròzkù jic  
a czasã  
czej leżã jak drąg  
a z òczów lzë ni mają kùńca  
jaż pòwieczi sã spùchlë  
jakkbë rój pszczołów  
na nich ùsòdl  
tej przëchòdò do mie  
ta straszno pieczelnò  
stodoła smòlësto w jaczi  
i Kaszëbów i Żédów  
i Cëgónów i wiele  
wiele jinszych  
spòlëlë.

Tej głowa mòja pełnò  
dëmù rëczeniò trzòskù i krzików mǎczi  
ni moze dlëzi ju zniesc  
òdpòdò jak bania  
na jeseni od swòjégò chłãdu  
a tatków tatk wiedno tã stodołã  
przëpòminòł  
jak w swiätégò Jana z chłopama  
ze wsë òni jã stòwielë  
a na Swiätégò Antóna

wiechã w górã wcygnãlë  
szlëfë rozmajité blewiązczi  
stążczi czerwóné i mòdré  
zeloné żòlté biòlé  
tańcowałë zwinno chwatko  
jãk bë jaskółczi w jednym  
piestrzeniu sã zabòwiałë.

Mëslól jô bë  
że w ti stôri stodole  
w zëwicznëch sãkach  
i stôrodziejowim drzeniu  
lëdze mògã zrobic wszëtko  
zôrno zebrac  
i zôrno nalezc na chlëb  
abò pòpielnicã z jaczi wiater  
wënëkò spòloné gnôtë  
jô bë chcôł jesz rôz nie wiedzec  
i zabôczëc nie pamiãtac smòlë i ògnia  
brunëch szkùrpów pòdeszwë sã òstałë  
chcôlbëm pò pròwdze  
wlezc w sóm strzòdk Adama Éwë  
chwëcëc rodzëców za rãce mòckò  
i bëc w ti stôri stodole bòkadoscë lata  
w żniwny zëlnik na wiedno.

# NAGRODA ODDZIAŁU ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

## KRYSTYNA LEWNA

### STÔRÔ BIALKA

Ta smùtnô, stôrô bialka sadla so na lówkã, chtërna niepòradno stoja kòl kùrnika. Lówka bëła czësto zeszczaralô, marnô, òbczidlô. Strëpiälé déle wëstôwalë tu i tam, że trzeba bëło miec wiele òdwôdzi, abë sã na niã sadnac. Trzeba bëło jã znac i wiedzec, z chtërny stronë òna sã zybie, z jaczégò nurtu wëstôwają gòzdze, hóczącé lómpë i włosë. Stôrô bialka zna ji kònsztrukcjã na pamiãc. Cëchò sã prësuwa i mitkò sôda na cwiardëch délach. Zakriwa ràkã gãbã przed slunëszka, co slëpilo jã niemilosernie. Sedza. Z chëczów dobiegalë głosë fùl sztridów i tòklu. Same wëzwëska i przeklénstwa. Marné słowa. Słowa te wiszelë w lëfce i jakbë nie interesowalë stòri bialczy, zdôwa sã òbòjãtnô a nawetka przëtãpionô. Òna blós sedza. Sedza i zda, zebë slunce przësta tak mòcno jã slëpic. Żdanié to bëło nówòznieszé zajãcë w ji zëcu. Sta sã wszëtczim co òna, stôrô bialka, terò mia. Nie bëło to dobré żdanié, bò sã nick nie dza, nick prócz negò trzòskù, co szed z chëczów. Szed dristno i jednym cëgã, ale stôrô bialka bëła do tegò znãconô i z tim òbëtò.

– Kòl waji je wiedno tacji jòch! – rzekla òdwòznie sãsòdka, chtërna nie bëła w sztãdze lgac, a prosto gòda to, co mëslëla. Znalë sã ju tëli lat, ale to, co na sënówò tam wëwlekla, to przechòda wszëtczé lëdzczé pòmëszlënié, bò dzarla sã òd pòrénkù jaż do wieczora.

– Wa ji szëkùjta jakã radã, bò òna pãknie òd negò dzercò. Pãknie i mdze kùnc! – dopòwiòda sãsòdka z nieukrëtã redotã na gãbie i jakbë sã jiscëla, a jednak wariatka w sãszëdztwie to je cos, bò i môsz wiedno ò czim gadac; czë to krewny przëridëjã, czë tã gdzes pòlëszë, to wiedno môsz temã. Taczé co nie zdòrzò sã wszãdze. Je to zjawiszczé òsoblëwé i baro cenioné. Dzercé a wëwòlanié wszëtczich lëchëch rzëczy domòwëch je baro wòznym zjawiszczã w nym mòlim fërtlu, co no le blós do pòrà budinków sã ògrãncziwò.

Sãsòdka rzekla swòje a skracëla pòd chëcze. Mia wiòlgã swiãdã, że da noka i że mògla chòc përzna „pòradzëc”.

Stôrô bialka sedza i „rëzowa” w môle ji dobrze znóné; mia ten cop i pùnã

pěrznã szrôc scãti. Mia kléd i nowé bôtë; lakierowóné z wierzchù. To bëlë bôtë czerwioné z rzemieniã i zlotã klamrã z jedny stronë. Òna tej w nich spa. Legła sã i ùsnã. Bôtë bëlë tak piãkné, że szkòda bëło je scëgac. Pamiãtò. Pamiãtò nã miskã grizu i to, że nènka da ji jész masła w nen pòslédny mòltëch. Òna czëła sã baro achtnionò. Sedza kòl wiòldzégò stolu, na chtërnym leża sztòlc cerata w zelonã kratã a midzë nã kratã bëlë wiòldzë mòdròczy. Wszëtò to sã cygło nibë kilométrama. Stòwa sã nie do òbezdrzeniò. Bëło piãkniészé, niż je w nòtërze. Bëło równé, gladzëchné i tak fòrsz, że òczë pòbiegòwalë w tã i nazòd. A òna dzysò, stòrò bialka, widzy to wërazno i czëje pòcha toptucha, chtërnym nen celt scéralë. Ten nibë smród bël do ni swòjszi i ùprzëjemny. Jadła z talerza, co miòl wków zloti rant i wzëra na tã ceratã.

- Za nick w zëcu! - dochòdalë glosë z chëczë. - Jò sã rozénda z tobã i mdze kùnc! Të jes niedoczegòs! Nieùklecznik i wszëtò, co nie je na tim swiece!

Stòrò bialka, co ju ni mia dwùch przëdnëch zãbów, dali zakriwa gãbã, bò ji sã wëdòwa, że òd negò slunuszka òna dostónie raka, abò co. Sedza na ny sfatigòwóny lówce i nie slëcha, le „rëzowa” szpùrama swòji mlòdoscë i szuka nëch dobrëch plachców, co ògrzëwają i dówają ji jész sëlë, abë jakò takò to wszëtò zlëdac.

- Nie mdze tak, że mòja bialka robi na ce! - wrzeszczòl jednym cëgã syn na stòrã bialkã, a ta jaz nie wiedza, co z tim zrobie. Rzekła ùraszłò i wëczidlò ze swòjich mëslów, że je ju stòrò, że nicht na niã robic nie darwò!

- Jo, to je twòja wina, że më sã tak sztridëjem! Më jesmë dërch pòszczekóny! Ale to jidze ò ce! Ò nikògò wicy! Të jes na przëczëna i całò zwada w naszim dodomie!

- Wez mie zabij! - rzekła òdwòzno stòrò bialka, co zëcë swòje cenila nad wszëtò. Wëchòwónò bëła baro bògòbójnie i ni mògła sã pòzwòlëc na zòdne z Bògã jigrë. Żëcëgò bë sã nie òdebra nigdë. Chòcbë nie wiém co. Chòcbë szło nie wiém jak, ale tegò òna, stòrò bialka, nie zrobie, bò wié, że Bóg taczich nie lëdò i wësélò na wieczné pòszwadanié, gdzes midze swiat lëdzczy a dëchòwi, tam zawisną i tak sedzą jak cénie, abò gapë, co mòglëbë gdzes trafic, ale tak richtich nicht nie wié gdzie?

Stòrò bialka pòdniosła sã z lówczy. Chwòca za czitle i pòczëła, że bëlë òsmrodzoné. Szczëné jész ji ceklë pò nogawicach i wdzéralë sã do kòrków. Przëuwazëła to nipòcò sënòwò i zarò zaczã wrzeszczëc, że mò pòdlòdzi scarté, że na stòrò swinia wszëtò ji zadoji, że to mdze smierdza całò bùda...

Stòrò przemkla do swòji jizbë. Chca so zjac ne òsmrodzoné ruchna, ale nijak ni mògła òdpiãc ny szpilczy, co to za knãpã robila prze sëkni. Zacã sã i nie dówã sã wëhòczëc. Bialka sadła na zòfã. Zacã scëgac mòkré nogawice. Te przëklejilë sã do szpërow i scyganié jich przëpòmina wiòlgã swińską flaka; slëskò i cygnãcò sã w nieskùńczonosc. Bialka zasapa sã i terò mùszela so òdpòczic. Napilabë sã

czegòs, ale ni może wstac, bò bòji sã, że ùpadnie przez ne nogawice. Mùszi źdac. Źdanié jidze ji dobrze. Mò cerplëwòsc. Dobrze, że sedzy kòl òkna, to je wiedno mili, może sã òbezdrzec lëzającèh drogã lëdzy.

Na dereresce stoji wiòldzi aszparagùs i òn ji zaslòniò òkno. Stòrò bialka chce sã gò wiedno pòzbëc, ale nie wié sama jak bë mia to wëzdrzec. Nie wié, co bë mia z nim zrobic; czë wëdac gò kòmù, czë wërzëcëc, czë co? Ni może nick z nym kwiatã wëmëslëc, a òn je wiòldzi i zelony, je zdrów i zawòlò ji prawie calé òkno. Czëdes nawetka chca gò dac sãšòdce, ale ta òdmówila, rzekla, że ni mò placu na taczi aszparagùs. Pòzni stòrò bialka ju drëdži ròz ji gò nie bédowa. Kwiat òstòl na swòjim mòlu. Terò je jak òna; z jedny stronë ceszi, że zëje, a z drëdži zawòdzò i przikrzy. Rozmëszlania aszparagùsowégò bëtu przerwa Spitò Jolka, chtërna niepòradnò zawisla na drewnianëch sztachétach plotu i zaczã rzëgac prosto w róze. Stòrò nie pòdniosla sã. Sedza, ale widza wërazno, że przemkla tam téz Zareczka – drëszka rzëgający, co ju nie chca miec z nią nick do czënieniégò.

– Szkòda ti Jolczy, dobrò z ni bëla bialka, ale zniszczil jã chlop, co kòzòl ji za wiele robic i dërch dzecë rodzëc, chòc to i òna bë mia wëtrzymóné, ale czë ten sã nalòz jinszą bialkã, tej w Jolce cos pãklo; zaczã pic. Picé bëlo jedynym lëkã, chtëren dówòl ji përnã wëchnieniégò. Ùchòda w swiatë barzi lëdzcze i milszë. Wchòda tam, gdzie òna, Spitò Jolka, mògla na nowò bëc kims lepszym i dobrim. Taczé swòje mòle, co pamiãta z dzecnëch lat, słowa, a może wice, chtërne robila jinszim, co jã terò përnã bùdowalë, jak ta stòrò bialka.

Stòrò bialka ni mia zòdnégò żalu do Spiti Jolczy, że ta ji róze òbrzëga. Nie jiscëlo jã to wcale. Bòla jã serce, że takò mlodò bialka cerpi barzi niź òna, stòrò i zniszczonò. Smùtné wezdrzenié na swiat przez aszparagùs, co rzetelno zakriwòl òkno, nie chronilo jã przed wszëtczima lëchima òdjimkama tegò swiata.

Stòrò bialka slëcha, czë ju jiwier w kùchni ùstòl, czë ji sënówò jacha pò sprawùnczi, bò tej òna bë so szla wëprac ne òsmrodzoné lómpë; nogawice, sëkniã a bùksë. Doma bëlo sztël. Bialka wëkracza sã ze swòji jizbë i cësna pòd zlëw. Wzã szaré mëdlo i dokladno pra swòje ruchna. Wëwiësa je na linã. Nymczasã to zgrzechòta; na pòdwòrzë wjacha àuto a w nim na marnò sënówò. Zaczãl sã zòs rëmòr. To samò òd pòczãtkù; wrzeszczenié, a wëzëwanié. Jòch nié do zniesieniégò.

Stòrò bialka terò zda na ne gòtówóné bülwë, bò blòs to dostòwa, resztã nié. Marnò sënówò doch nie mdze zëwila nikògò, chto ji dëtków nie dówò. Talërz gòtówónëch, jalowëch bülëw bël pòstawiony na szpiniã kòl platë. Stòrò òtemkla dwiërze i gò chwòca. Doda sã do tegò përnã masla i solë. Swój mòltëch zjadla cali. Wezdrza téz niepòkòjãco na sztëczk masla, chtëren ji jesz òstòl i pòmëslela, że mdze mùszela lezc do krómù.

Pò pólniu szla na linã pò swòje lómpë i zajisca sã baro, bò i sëkniã, i nogawice, i bùksë bëlë wëwaloné na plot, jak kòdrë jaczës. Jak fùslapë, abò miech. Nogawic

nie da sã ju òdretac, bò bëlë calé pòdzarté, do wërzuceniô. Zabòla to stòrã bialkã, chtërna òpasowa na kòzdégò dëtka, co mùszi wëdac. Spòla nogawice, cobë jesz ji mòglë pòra razy sluzëc.

Òblekla sã nowi szërtuch i lazla pò maslo. Droga bëla ta sama; krãtò i coròz to dlëgszò z wieka, jakbë ji chto doklòdòl. Nodzi slë równo, ale krok bël miësz i niż czedës. Tak je ze stòrima bialkama; nibë lëzã a stojã w jednym môlu – mësla.

Czej wróca z krómù, tej wezdrza w szpégel wiszący w dómie. Òbòcza w nim se; stòrã, zmarnowónã twòrz. Òbòcza ne przëgaslë òczë i sëché lëpë i masa skórë, chtërna sã nawiòrstwa i mùrgòlëla, bò nie wiedza, co ze sobã zrobie. Ten òdjimk jã përnã zascygnãl, përnã zamëslòl i zòs pòcaplowa do swòjich chëczów, gdzie jesz bëla mëma, bò ta do ni gòda mitkò i letkò, gòda dobrze, że wszëtkò sã proscëlo i sprawë zakrãconé i lëdzcze dokòzë, stòwalë sã blòs szpòsama, co w jaczis chmùrze ùmikajã.

Dzysò stòrò bialka wëjã z kléderszpinie nen stòri kléd. Stòri, ale dlò ni nowi, bò gò le jeden ròz mia òbklé, na wieselé Mirë. Ten cali czas, a je to pòrã dobrëch lat, sëkniò cerplëwò wisa w szpini. Wisa i nabiëra mòcë, jakbë żda na cos, co kùnczi sã taczim samim wëdarzenim jak wieselé.

Stòrò bialka sã rëchtowa nen rózewi kléd w biòlë hòczëczy do ny wiòldzi drodzi w nieznóné. Wietrza na lómpë i òbzëra. Wònia òd rãkòwów pò sóm kùnc i za kòzdim razã òn ji zalatiwòl pëzama, ale mëslëla, że to ni mò zòdnégò znaczeniégò, że ji i tak nicht w zarkù wòniac nie mdze. Nie mdze pra sëknie, nie mdze téz sã tim przejmòwa, bò pò smiercë ju òna ò niczim decydowac ni mòze. Òblecze sã za zëcégò tak, jak mdze chca, żebë nie darwa za niã decydowac na marnò sënòwò, cobë jã w jaczës granatowé, abò, nie dój Bòże szaré sëknie wëstroja. Dzywné to bëlo zjawiszcze ta ji sënòwò, co sã le w ne szaré, czòrné abò granatowé lómpë stroja. Nigdë nie bëla òbleklò fòrsz! Nigdë ni mia na se rózewégò, czerwionégò ani pòmarańczowégò klédu czë bluzë. – Kò to doch téz swiòdczi ò człowiekù! – mësla stòrò – lómpë dówajã òdzwãk tegò, co sã w dësze dzeje, jak zle, tej sã cëmné farwë, a dobré... Żebë òna blòs mie negò kléda nie scyglã? – rozmiszla stòrò i gladzëla nã cenëchnã sztofòwã materiã. Klopòt ji bël wiòldzi i jiscenié téz, bò ta jedna rzecz mia bëc takò, jak òna, stòrò bialka, mia sa òbmëszloné. Swiãda kòl negò ùmiéraniégò a wëzdzeniégò zajisca jã i zmila w swòji zófie, że bës rzek, że ji doszlo grëpã lat, ale kò òna, jesz bë mòglã rozmajité; chòc radzëc kòmù, a nië ò smierce mëslëc.

Rozmëszlanié ò smiercë dowa ji jakãs ùlgã. Żda na niã. Widza w ni cos, co przënoszò letkòsc. Mëslëla, że na dësza je jak warzonò bùlwa, że mùszi wëskoczëc z cala i lezë gdzes, hënë, gdzie nicht nie wié, chòc òna czëla swòjã matkã, czëla ji glos i wiedza, że ji je tam dobrze, bò zna ji wszëtczé słowa; dobré i lëché i te skrëté, co dówajã pròwdzëwé czëcé, co sã jak deka do zakrëcégò, żebë nikògò nie czidnãc i nie skalëczëc.

Dzysò òna, stòrò bialka, czëje głosë wërazno i rozmije ne zmianë. Je doch stòrą bialką. Je môlim dzewczëcã, chtërno slëchò. Dzeckã, co mô na se klédzëk i czerwioné lakerowóné bùcëczy ze zlotą klamrą. Stoji sztël. Nie chce nikògò wëploszëc. Nie wié, jak smierc przëchòdò. Nie znaje ji. Ni môże nick na ji temã rzec. Je niemò. Chce sã dowiedzec. Żdze. Czëkanié mô weczwiconé. Je pòkòrnò i òsoblëwò. Naslëchùje. Mëma wòlò. Wòlò, ale jakbë niewëraznò; cerpkò i smùtno. Gòdò do ni pò mionie. Smùkò jã pò gãbie i jiscy sã, że ta ni mô zãbów, ale stòrò bialka doch stoji przed nią z zãbama? Stòji môlò, tlëstò. Stoji z nym copã i krzëwą pùną. Stoji. Mëma sã ju nie jiscy. Nie chce dzecka ploszëc, chce, zëbë òno sã ùsmialo i przestalo bójec.

Stòri bialce je dobrze. Czëje mitkòsc a ceplotã rãczy swòji mëmë. Mô zòs kògòs, chto jã kòchò nad zëcé. Môże sã wëzalëc... Gòdò. Gòdò ò ny swòji marny sënowi, bò ta ji dokùczò i sprawa je swiëzò, cali czas na pierszim môlu. Òpòwiòdò ji wszëtkò. Słowa sã niecerplëwé. Jidą z gãbë nieskladno, bò wszëtkò je wòznë, kòzdò psota.

- Dòj pòkù! - rzekla cëchò mëma i przëcësna jã do se. Stòrò bialka przëstac gadac. Zasroma sã, że òna takò ju w wiekù, jesz zarzucò jinszych swòjima klopòtama, a doch wié, że ji mëma nie zëje, że to le ji sã tak snije abò wëdòwò, że to sã taczé òd staroscë manidla, co kòzdegò dopòdaja, a wleką w nieznónë. - Taczé ërlesztë! - dopòwiëdza sã pòd nosã i przëcarla òczë. Kòl plotu dali leza Spitò Jolka. Nicht sã za nią nie czerowòl ani ji mùter, ani brat i dzecë. Nicht. Jolka leza, jakbë nie bëla człowiekã, jakbë to bël jaczis smiec, a doch òna mia dëszã, sëmienié. Czëla. Bëla zëwim człowiekã, co përzna sã zagùbil.

Stòri bialce zrobilo sã lëchò. Òdbija ji sã samima bùlwama z masla. Jedzenié sã copa i zòlëlo w gardle. Pòdniosla sã ze swòji zòfë i chwòcëla zòlãdkówé krople, chtërne stojalë kòl figurë Marije. Stòjòl tam też cëczër i na serwece leza môlò telefëlka. Stòrò to wszëtkò trzima kòl se blëskò tak, zëbë nie szëkac i nie zabëc. Zlizowa lakòmò cëczër z lëszëczëzi i wëdòwa sã sobie përzna pòdobnò do ny wëszëczëznicë, chtërna swòjim welech jãzëka chùtkò òperëje. Stòrò bezzãbnò bialka zòs so sadla na zòfã i zòs wzëra przez no òkno, chtërne zaslòniò ji ten zelony aszparagùs. Terò òdbilo ji sã samima zòlãdkòwima kroplama. Czëje miòdno-gòrzkã pòszmakã w gãbie. Napilabë sã czëgòs, chòc wòdë, ale bòji sã pò nią lezc do kùchnie. Szëmaka kroplów starò sã pòkònac slëną. Jednak to nie je taczé eńfach.

Czëjbë bëla kòl se doma, kòl mëmë, tej napilabë sã kòmpòtu, taczëgò z pòtròwniców abò ze slëwów. Doda bë përzna wòdë i to wszëtkò.

Chce zòs dodóm i widzy, że ji chëcze sã òtemklë. Dwërze rozchlastlë zapròszaja do bëna. Stòrò sã dwigò z zòfë. Zòs je òsmrodzonò. Chce lezc pò szmatã i pòsërac pòdlogã, ale wnym szpëra ji sã ùsuwò i stòrò rëmnã na zemiã. Trzasla ò òstri rańt szpińczi, na chtërny stoja Marija. Bialka wòlò retënkù, ale



nicht na niã nie dôwò óbachtu, blós na Spitò Jolka sã próbùje zgrzebac, ale sznaps nie pòzwólò ji sã rëszëc.

Stòrò bialka lezi w plëce krwie. Je ji ceplo. Nie czëje ju bólu. Ji chëcze stòwają sã wërazniészé, a przez òtemklé dwiërze widzy wërazno wszëtczé sepëta, co stoją spòkójno w dómie. Czëje téz pòchá gòtówónégò grizu. Zarò sã sadnie kòl stolu. Zarò mëma pòdò mòltëch.

# NAGRODA BURMISTRZA MIASTA ŁĘBORKA DLA TWÓRCY Z ZIEMI ŁĘBORSKIEJ

## DOROTA SYSIK

### MIĘDZY WZGÓRZAMI

Przysiadła na chwilę. Była z siebie zadowolona. Wstała wcześniej i ze sprzątaniami bardzo szybko się uwinęła. Dom błyszczał, gotowy na przyjęcie gości. Po przejściu na emeryturę czas dzieliła między porządki i czekanie.

Letnie przedpołudnie przeniknięte upojnym zapachem lipy, rosnącej w pobliżu domu i monotonnym brzęczeniem pszczół, ciężko pracujących na miód sąsiada, uśpiło ją na dobre dziesięć minut. Ocknęła się, czując mokre dotknięcie psiego nosa.

Od pewnego czasu zapadała w nieplanowane drzemki. Uznała, że skoro szybko się męczy, to i musi częściej odpoczywać. Wszystko zwała na brak kondycji. Do sześćdziesiątki przecież była zawsze taka aktywna. Pracowała w sklepie, do którego musiała dotrzeć pekaesem. Do przystanku były prawie dwa kilometry i to w jedną stronę. A przecież trzeba było jeszcze wrócić. Upragniona emerytura postarzyła ją o kilka lat. A może bardziej samotność...

Za jedyne towarzystwo miała dwa zwierzaki: Gryfa i Morę. Jej dzieciaki nie mówiły o nich inaczej niż pieseł i kociel. Jedyńi, niepowtarzalni i wyjątkowi przedstawiciele swych gatunków.

Gryf szczeknął dwa razy. Zawsze słyszał ich wcześniej niż ona. Postawił swe śmieszne, oślopodobne uszy i zastygł niczym posąg tuż przy bramie. Nie musiała długo czekać. Zza zakrętu, razem z ogromnym tumanem wzniesionego piachu, wyłonił się czerwony samochód.

Miała ich pięcioro. Najczęściej jednak przyjeżdżał Janek ze swoją żoną Moniką i pięcioletnią córeczką Zosią. Może dlatego, że mieli do domu najbliżej. Reszta, rozsiana po kraju, pojawiała się tylko od „wielkiego dzwonu” albo od święta. Najmłodsze zaś dziecko, kształcące się za granicą, widywała tylko na Skype.

- Cześć mamo! Co tak niewyraźnie wyglądasz?
- A czyściłeś dziś okulary?
- Przecież wiesz, że wzrok to mam orli, jak nasz Gryfii - podrapał psa za

uchem. - Ten pieseł coraz bardziej się zmienia.

- Nie tylko on, synku.

- Wiesz Zosiu, - zwrócił się do córeczki - znaleźliśmy go dawno temu. Wyglądał jak podrzucone dziecko Gryfa.

Pamiętała ten dzień.

- Mamo, mamol Chodź zobaczyć, coś leży za płotem! - Dzieci ciągnęły ją za fartuch, pokazując paluszkami piszczący, czarny nieokreślony kształt.

- Poczekajcie, najpierw ja.

To, co zobaczyli za ogrodzeniem, niczego znanego nie przypominało, ale że wyglądało tak żałośnie, postanowili przyjrzeć się „temu” bliżej. Po latach doszła do wniosku, że to nie oni przygarnęli jego, ale że to on wybrał ich i pozwolił im się oswoić.

Ze wspomnień wyrwał ją dziecinny głosik Zosi.

- Tatusiu, czy to prawda, że Gryfii umie latać?

Syn spojrział na nią ukradkiem. Wybawiła go, odpowiadając na kłopotliwe pytanie.

- On wiele rzeczy potrafi i kto wie, czy latać też nie umie.

- Bo tata mówił, że widział jak lata. Ale ja nie wierzę. Przecież psy nie latają.

- Pamiętaj, że Gryf nie jest zwyczajnym psem. Wiele razy widzieliśmy jak unosił się nad wzgórzami.

- Naprawdę?

- Naprawdę kochanie.

Nie skłamała, ale też i do końca nie wyjaśniła wnuczce, co miała na myśli. Nigdy nie dowiedzieli się, jak ten zwierzak to robił. Co wieczór jakimś cudem wymykał się poza ogrodzenie i ganiał po otulonych koldrą z chmur wzgórzach. Widok był niesamowity. Gryf pojawiał się i znikał. Jakby płynął w powietrzu. Dzieciaki wychowane na kaszubskich legendach i opowieściach, święcie wierzyły, że wieczorem przybiera swoją prawdziwą postać i szuka skarbów, by je skryć w pieczarze przed ludzkim okiem, a potem do świtu strzeże swego dobytku. Ileż to dni spędzili wędrując po wzgórzach w poszukiwaniu skarbu Gryfa. Nigdy nic nie znaleźli. Nie to jednak było najważniejsze. Miała nadzieję, że wspólnie spędzony czas i przebyta drogę, pełną niezwykłych przygód, odkryją we właściwym czasie jako ten najwspanialszy skarb, który wraz z mężem próbowali pomóc im dostrzec. Zresztą nieraz dzieciaki same znikwały na całe dni, urządzając wyprawy poszukiwawcze. Robiła im kanapki i oddawała pod opiekę Gryfa, który nigdy nie pozwolił odnaleźć swojej kryjówki, ale zawsze przyprowadził dziecięcą gromadkę bezpiecznie do domu.

- Mamo, chciałbym z tobą porozmawiać.

Tym razem to ona spojrziała na niego znaczącym wzrokiem.

- Monia, weź Zosię na spacer, dobrze?

- Gdzie ty ją wysyłasz, przecież ledwie chodzi.
- Nie przesadzaj. Sama mówiłaś, że ciąża to nie choroba.
- Tak, ale...
- Naprawdę mam, oboje czują się dobrze.

Usiedli na ławce przed domem. Zaskrzybiała i ugięła się pod ich ciężarem.

- Gdyby tata żył, naprawiłby to.

Nie odezwała się. Wiele rzeczy na terenie posesji wymagało remontu. W życiu by się do tego nie przyznała.

- Uznaliśmy z Moniką, że nie powinnaś mieszkać sama. Szczerze mówiąc, źle wyglądasz mam.

- Czyli chcecie zamieszkać ze mną?

- Nieee... To ty masz zamieszkać z nami. Proszę, nie przerywaj. Pamiętasz, co tata mówił przed śmiercią? Nie? To ci przypomnę. „Dom, to nie zawsze miejsce, to przede wszystkim rodzina”.

- Mówił tak, bo martwił się o mnie. Ale jak widzisz, świetnie sobie radzę.

Kręcił przecząco głową. Wiedziała, że się z nią nie zgadza.

- Synku, on mówił także, że wszystkie drogi prowadzą do domu. To jest moje dziedzictwo. Tu przyszłam na świat, podobnie jak moja matka i mój dziadek. Nie chcę umierać gdzieś na obczyźnie.

- Jesteś upartą Kaszubką! Zrób chociaż badania. Masz dla kogo żyć. Zosia cię uwielbia, a niedługo na świat przyjdzie Józio. Przecież chcesz go poznać, prawda?

Oczywiście, że chciała. Kochała wszystkie swoje dzieci i wnuki. Kiedy któreś z nich dzwoniło z pytaniem, czy może przyjechać, niezmiennie odpowiadała: „To jest TWÓJ dom i ZAWSZE możesz przyjechać”. Szkoda, że przyjeżdżali coraz rzadziej...

- Mam, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Tak synku. Obiecuję zrobić badania.

- I leczyć się, jeśli będzie trzeba?

- Tak.

- To przysięgnij na figurkę Matki Bożej.

Zastosował jej stary sposób. Często stawiała ich przed domową kapliczką, wtopioną w zieleni ogrodu i mówiła: „A teraz przysięgnij”. Po latach role się odwróciły.

- Przysięgam na Maryję.

Objął ją ramieniem i pocałował w posrebrzane włosy.

- Kocham cię mam i kocham to miejsce tak, jak ty. Gdybym tylko mógł, zostałbym tu na zawsze.

Przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie.

- O, dziewczyny wracają. Gdzie byłyście?

- Nad jeziorkiem. I Mora była z mamą.  
- O, to macie szczególne jej względy.  
- I pan sąsiad pozdrawia ciebie, tatusiu.  
- Stolem?  
- Taki duży, zgarbiony pan. On łowił ryby, a Mora mu je kradła.  
- I nie pogonił jej?  
- Próbowałem, ale ona jest sprytna.  
- Ha, ha. My też kiedyś byliśmy tacy sprytni. Pamiętasz mamó?  
- Jeśli złodziejstwo nazywasz sprytem...  
- Oj, mamó. To były przecież tylko jabłka, no i gruszki i jakieś tam inne...  
No wiesz, kradzione lepiej smakuje. Stolem się wściekał i gnał nas przez pole. Znikaliśmy w zbożu.

- Przy okazji tratując je.  
- Raz uratowała nas przed laniem Borowa Ciotka, jego żona. Uwielbialiśmy z nią chodzić na jagody, bo w jej fartuchu było pełno łakoci, którymi nas częstowała.

- Teraz mi to mówisz? A ja myślałam, że wy tak z dobrego serca chodziliście z Anielą do lasu.

- Z dobrego serca też. Borowa Ciotka trafiała do naszych serc przez żołądki.

Roześmieli się wszyscy.

- To dobrzy ludzie, synku. Co niedzielę zabierają mnie do kościoła.

- Mamó, emeryci mają dyspensę i nie muszą chodzić.

- Dziecko, starość jest po to, żeby się modlić.

Z Anielą i Włodkiem znali się od lat. Byli najbliższymi sąsiadami. Dzieliło ich wzgórze, a o tym, czy są w domu świadczył tylko unoszący się z komina dym. Oboje z Tadzkiem wiedzieli o „procederze” swoich pociech. Włodek, zwany przez dzieciaki Stolem, z racji swojej postury i usposobienia, miał wręcz nakaz przetrzepania skóry małym złodziejaszkom. Ale on zawsze gonił ich tak, żeby nie złapać. W gruncie rzeczy miał „anielskie” serce. W końcu z Anielą, Borową Ciotką mieszkał już pięćdziesiąt lat pod jednym dachem. Anieli pomagała im, jak tylko mogła. Często zabierała ich dzieciaki na jagody, kiedy to ona z najmłodszym zostawała w domu, a Tadzio pracował do późna, żeby wyżywić tak liczną gromadkę. Całymi dniami pomagała zbierać ich dzieciom pełne jagód wiaderka, by mogły kupić książki i zeszyty do szkoły.

W czasie jednej z takich wypraw znaleźli Morę. Zły człowiek porzucił w lesie zawiązany sznurkiem worek. Usłyszeli ciche popiskiwanie. Mora jako jedyna z miotu przeżyła. Płacząc, pochowali kocięta pod wielkim dębem. A to najbrzydsze, czarne jak smoła cudem przeżyło i pozostało z nimi. Mora - zmora wołały na nią. Rzeczywiście bardziej przypominała straszdyło rodem z horroru niż przyzwoitą kotkę. Bardzo szybko postanowiła przejść we

władanie całe podwórko. Jej dominacja jednak nieomal skończyła się tragicznie. Ledwie zdążyli wydobyć ją z pyska Gryfa. Niemniej jednak Mora pozostała dzika i niezależna.

- Mamo, o czym tak myślisz?
- Wspominam dawne czasy.
- Mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo.
- Mimo biedy?
- Oczywiście. A wiesz dlaczego? Bo mieliśmy was i siebie nawzajem.
- I chleb ze smalcem...
- Tak, ale to ty ten chleb piekłaś.

Powoli, jak to w lipcu zapadał wieczór. Cienie wydłużyły się, a słońce już prawie zniknęło za wzgórzami. Wiedziała, że muszą jechać. Obiecała sobie, że nie okaże im smutku, który coraz bardziej ją ogarniał. Podjęła ostatnią próbę.

- Janku, może zostawicie mi Zosię. Monika odpocznie, a ja będę miała towarzystwo.

- Tak, tak! Ja chcę zostać - dziewczynka podbiegła do taty ze złożonymi rączkami. - Proszę tatku.

Widziała, jak jej rodzice wymieniają kłopotliwe spojrzenia.

- Przecież już zostawałam u babci Agnieszki.
- Tak, ale nie mamy ciuchów na przebranie.
- Mama ma zestaw „awaryjny” w samochodzie.
- Czyżbyście się zmówiły?

- No, nie wiem, czy to aby dobry pomysł. Babcia nie wygląda najlepiej - wtrąciła Monika.

- Nic mi nie jest - powtarzała z uporem. - Chociaż na jedną noc. Proszę synku.

- Dwie na jednego. To nieuczciwe. Monia, co o tym sądzisz?
- Zgoda, ale tylko do jutra.

Kiwnęły obie głową na znak, że umowa została zawarta.

- Komu w drogę, temu czas. No kobieto, pakuj się do auta. Mamo, ten kocięł znowu przebiegł nam drogę. I jak ja mam teraz jechać?!

- Musisz zwabić go z powrotem.
- Myślisz, że to pomoże?

- Nie, ale będziesz miał lepsze samopoczucie. Mi Mora co chwilę pcha się pod nogi i jakoś nic szczególnego się nie dzieje.

- A gdzie pieseł?
- Za tobą.

- Ten to też pojawia się i znika. Słuchaj Gryfii, zaopiekuj się nimi, dobra? Pies szczeknął dwa razy.

- I miej oko na Morę, nigdy nie wiadomo, w co się w nocy zamienia.

- Może jednak zostaniecie na noc?
- Już jedziemy. Nie poganiaj mamę.

Wreszcie odjechali. Doskonale rozumiała niepokój syna, ale przecież to była tylko jedna noc.

Podlały kwiatki przy kapliczce i poszły do domu.

- Babciu, opowiesz mi bajkę?
- Oczywiście, ale musisz mi pomóc. Tylko coś zjemy, unyjemy się i położymy do łóżka.

Minęła godzina zanim ułożyły się w wielkim łożu.

Nie pierwszy raz tworzyły razem niezwykłą opowieść. Każda była inna. Wyjątkowa, mądra i piękna. I tylko ich własna.

- O czym ma być ta historia?
- O smoku.
- Kto zaczyna?
- Ja.

Dziewczynka zamknęła oczy i rozpoczęła opowieść:

- Był sobie smok. Teraz ty, babciu.
- Ogromny, prawie tak duży jak nasz dom.
- I był pokryty srebrnymi łuskami.
- To prawda. Te łuski były niczym zbroja, chroniły go.
- I grzały, gdy było zimno i przynosiły ochłodę, gdy upał mu dokuczał.
- Masz rację kochanie. Tak właśnie było. Smok, każdego ranka wychodził ze swojej pieczary, by powrócić dopiero późnym wieczorem.
- Babciu, ten smok był dobry, czy zły?
- A jak myślisz?
- Myślę, że się wściekał i wtedy ział ogniem, i wszyscy się go bali.
- Wielu rycerzy chciało pokonać smoka, ale żadnemu się to nie udało.
- A wiesz babciu, że on miał czerwone oczy.
- Hm. Dość nietypowy kolor nawet jak na smoka. Powiesz mi dlaczego?
- Z gniewu. Tylko czasem robiły się niebieskie.
- Kiedy, kochanie?
- Wtedy, gdy bardzo płakał.
- Ach tak... A wiesz, czemu był smutny?
- Bo jego wielkie serce pękało z bólu.
- Wygląda na to, że tak naprawdę nie był on strasznie złym smokiem.
- W dzień miał czerwone oczy i był okropnie straszny, babciu. Wszystkich nie cierpiał, ale każdej nocy jego oczy stawały się niebieskie.
- Bo bardzo płakał?
- Tak babciu. Bardzo.
- A wiesz może dlaczego?

- Chyba wiem.

- Powiesz mi, kochanie?

- Tak. On umierał z tęsknoty.

- To smutne.

Oczy dziewczynki zaszkliły się.

- Ale było coś, co mogło go pocieszyć.

- Co takiego?

- Złota łuska. Ona należała do jego mamy. To była jego jedyna pamiątka.

Cały czas jej szukał.

- Zgubił ją?

- On sam nie wiedział. Podejrzewał, że ktoś mu ją ukradł.

- Rozumiem. Dlatego nienawidził ludzi.

- No właśnie. Całymi dniami szukał swego skarbu.

- A nie mogąc go znaleźć, stawał się coraz gorszy.

- Tak babciu. Bo wiesz, dawniej tak nie było. Smoki pomagały ludziom.

Strzegły ich.

- Ludzie przyjaźnili się z nimi?

- Tak babciu. Tylko potem stało się coś strasznego i świat się zmienił.

- Powiesz mi co się stało, Zosiu?

- Kiedy umarł pierwszy smok, ludzie zabrali złotą łuskę. Bo wiesz, każdy smok, tuż pod sercem ma jedną złotą łuskę. Nie wolno ludziom nawet jej dotykać, bo jak dotkną, to chcą ją mieć za wszelką cenę i nie mogą przestać.

- Ach tak. Teraz rozumiem, dlaczego smoki wyginęły.

- Prawda, że to smutne?

- Prawda dziecko. Czy nasz smok był ostatnim smokiem na ziemi?

- Tego nikt nie wiedział, nawet on sam. Jego mamę ranił zły człowiek, żeby zdobyć złotą łuskę. - Dziewczynce spłynęły dwie ogromne łzy po policzkach.

- Ale nie udało mu się. Umierając smocza mama ofiarowała ją naszemu smokowi.

- Babciu, dlaczego tak się dzieje?

- O czym myślisz kochanie?

- Na świecie jest tyle zła. Ludzie pragną złotych łusek, a smoki zabijają ludzi!

- Nie musi tak być.

- A jak ma być, babciu?

- To my tworzymy ten świat, tak jak tę bajkę. Przecież ona nie ma jeszcze zakończenia.

- Ale, czy to się może dobrze skończyć?

- To zależy od ciebie i ode mnie. Spróbujmy kochanie. Zawsze warto próbować dziecinko.

- Pewnego razu smok zawędrował bardzo, bardzo daleko. Nigdy wcześniej



tam nie był. Teraz twoja kolej, babciu.

- Zobaczył stojącą na skraju lasu chatkę. W chatce mieszkała mała dziewczynka.

- Taka jak ja?

- Dokładnie taka sama. W pierwszej chwili chciał wypuścić z siebie ogień i wszystko zniszczyć.

- Ale tego nie zrobił, prawda?

- Nie. A wiesz dlaczego?

- Wiem! Bo dziewczynka wcale się go nie bała. Nic, a nic. Ani troszeczkę.

- Pewnie nigdy wcześniej nie widziała smoka.

- I wiesz, co się stało babciu?

- Co Zosiu?

- Czerwone oczy smoka zrobiły się różowe.

- Ojej! Musiał ładnie wyglądać.

- Myślę, że dziewczynce bardzo się spodobał, bo podeszła do niego i pogłaskała go po łapie.

- Chyba bardzo się zdziwił.

- Tak. I zaczął się śmiać, bo okazało się, że ma łaskotki.

- Smoczy śmiech był straszny. Z domku wyszła babcia dziewczynki i bardzo się przestraszyła.

- Tak, ale nie aż tak bardzo.

- I co było dalej?

- Och babciu, nie wiesz?! Dziewczynka, smok i babcia zamieszkali razem. Smok troszczył się o nie, a one o smoka.

- I nie szukał już złotej łuski?

- Tylko czasami. Ale coraz rzadziej. Bo widzisz babciu, on znalazł coś, co było równie cenne, a może nawet bardziej niż złota łuska.

- Co kochanie?

- Babciu, przecież ty dobrze wiesz! RODZINĘ!

- Masz rację dziecinko. Każdy z nas, czy dziecko, czy babcia, czy smok, tego czego najbardziej pragnie w życiu, to być kochanym.

- Wiesz babciu, cieszę się, że nasz smok znalazł dom.

- To ty mu go znalazłaś.

- Razem z tobą babciu.

- I to już chyba koniec naszej bajki. Chociaż te najprawdziwsze baśnie naprawdę nigdy się nie kończą. One są w nas.

- Wiem babciu.

Wnuczka mocno przytuliła się do niej i szepnęła prosto do ucha, a może bardziej do serca:

Kocham cię babciu.

- Ja ciebie też dziecko, ja ciebie też.

- A teraz już śpij Zosiu, bo zrobiło się bardzo późno. Dobranoc kochanie.
- Dobranoc babciu.

Wysłuchiwała się w spokojny oddech śpiącego dziecka. Sama nie mogła zmrużyć oka.

Tak niedawno obok niej leżał Tazio, miłość jej życia. Nazywał ją swoim „skarbem znalezionym w roli”. Dla niej zostawił wszystko, co miał i choć nie był „tubylcem”, wrósł w tę ziemię tak, jak ona. Pokochał ten niewielki dom, ukryty w sercu Kaszub. Oboje byli przekonani, że ten ich „raj” Bóg stworzył nie z jakichś tam resztek, ale z tego, co najlepsze i najpiękniejsze, i zrobił to własnymi rękami, oczywiście specjalnie dla nich. I byli wdzięczni. Ten dom był jak studnia z czystą wodą. Każde kolejne pokolenie mogło przyjść i czerpać do woli, a ona czuła się strażniczką tej studni. Choć nie wiedziała, co jutro przyniesie, nie mogła i nie chciała stąd odejść, bo to było jej miejsce na ziemi.



**Wydawca**

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU

E: [mbp@biblioteka.lebork.pl](mailto:mbp@biblioteka.lebork.pl)

T: 59 8622307

Rysunki

Aleksandra Kalinowska

ISBN 978-83-60731-37-6

**Wydano nakładem:**

Miasta Lęborka

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

**Projekt składu i druk**

DRUKARNIA BOXPOL

ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk

tel./fax 59 842 43 71

e-mail [boxpol@post.pl](mailto:boxpol@post.pl)

[www.boxpol.pl](http://www.boxpol.pl)